

Kronika

D W U T Y G O D N I K S P O Ł E C Z N O - K U L T U R A L N Y

Nr 6 Rok I

ŁÓDŹ, 15.-31 LIPCA, 1955

Cena zł 1.20

STANISŁAW PIĘTAK

PAMIĘTNE DNI

Do liceum zapisało się z Przysławem (osiem osób*). Na kursie, w którym uczniowie decydowali się robić dwa lata nauki, było prócz Michasia jeszcze rodzeństwo Bieleckich, czupurny Czesi i jego starsza siostra Irena. Czesi stracił dawno władzę nad Michasiem, właściwie od roku już się nie przyjaźnili. Znalazłszy się razem na ławce szkolnej, poczęli znowu jednak ze sobą przestać i odwiedzać się nawzajem.

W pierwszych dniach choroby Michasia, Czesi nie zjawił, po tygodniu jednak przyszedł i odtąd zaglądał w godzinach wieczornych prawie codziennie. W ciągu ostatnich trzech lat młody Bielecki wyrósł, zmężniał, był już mężczyzną w każdym calu.

Po chorobie już, wstawaj, nie cackaj się z sobą — zawołał, gdy przybył po raz pierwszy. Jasne jego włosy były tak gęste, że grzebień się przez nie z trudem przeciskał, oczy piwne, butne i żywe, policzki rumiane, jak u dziewczyny.

— Co ty, przecież to zapalenie płuc było.

— A no jeśli tak, to co innego.

— Co tam w szkole? — zapytał po chwili Michas.

— Granda, Te nasze belfry to łamał. Kubera też jest do łufy. Przecież to nie on powinien być dyrektorem, lecz Jankowski, bo Jankowski był przed wojną.

— Zwirowałeś, Kubera prowadził przez cały czas wojny nasze szkolnictwo.

— To nie ma nic do rzeczy. Jedyna władza jest ta, która była przed wojną.

Michas zachmurzył się i nie odpowiedział.

— Śmiać się człowiekowi chce, jacy to ludzie teraz pchają się do urzędów. Wyobraź sobie, Michas, ten idiota Kulik to podobno chciał być starostą. Niesłychane rzeczy, przecież on ani be ani me nie umie.

— Ja słyszałem jednak, że on zdolny.

— Głupio, to peperowiec — i dlatego się pcha. Ale nie długo będzie on hulał po Zaborowie, już tam są tacy, co mu wybiorą dobrą gałąź i powieszają.

— Za co, Czesiu, ty rozum straciłeś!

— Za co? — powtórzył Bielecki. Podniósł się, piękna twarz nabrzmiała mu krwią. — Ty jesteś głupi jak but, ty się trzymasz z dala od wszystkiego. Ale ja nie kryję się w korcu, ja jestem w organizacji i wiem, co w trawie piszczy. Na przykład, powiem ci pierwszą wiadomość: w Warszawie już drugi miesiąc biją się nasi, trwa powstanie.

— Przeciw komu?

— Przeciwno Niemcom i przeciwko bolszewikom, o to, by powstało wolne państwo polskie — i to od morza do morza.

— Bolszewicy to nasi sprzymierzeńcy, oni nas wyzwolili.

— Szczeniak jesteś — kiedyś zrozumiesz — to wrogi — i już za tydzień, za miesiąc będziemy strzelać do nich.

— Kto tak gada jest podły — wyszeptał Michas, pobladał z przejęcia, zamknął oczy i zamilkł.

— Zadawałeś się z Sobowcem i z tym durniem moim szwagrem, nauczyli cię, wykirowali na kałmuka.

— Nie czepiaj się mnie, ja się ciebie nie czepiam.

— Powiadam ci, nie uchasz się, gdy tak będziesz brał stronę tych bolszewików.

— Zobaczymy, czy ty się uchasz. Siedzieli naprzeciw siebie nachmurzeni, rozjątrzeni do żywego. Szczęściem do izby wszedł dziadek Sudaj i mogli przerwać swoją kłótnię.

— Oho, Czesiek, znowu podskoczyłeś na dwa cale i włosy ci się już na brodzie puszcza — zaśmiał się. — Tata w domu?

— Na razie w domu.

— Do urzędu nie idzie?

— Na bolszewików nie pójdzie pracować.

— Hm, na kogo, co ty breszesz, my mamy rząd nasz w Lublinie.

— Jaki to rząd, nikogo się nie zna.

— Bierut to Rusek, gazety przeciwie pisały.

— Które? Niemieckie, owszem.

— Nie, skąd, nasze, podziemne.

— A te po co? One teraz niepotrzebne.

— Sudaj patrzył obecnie już mocno niechętnym wzrokiem na Bieleckiego.

— Kraj nasz jest wyzwolony, trzeba organizować życie, robić, pracować dla tej nowej Polski, która powstaje.

— W Londynie jest Polska, tutaj jej nie ma — szemrał Bielecki.

— Więc jedź do tego Londynu — powiedział Sudaj i już zaklął.

— Znalazł się gagatek, hrabia to jesteś, boisz się, że ci odbiorą ziemię, czy jak?

— Ja jestem Polak i katolik, to jedno wiem...

Michas był tak zmęczony ostrą rozmową, że zasnął niespodziewanie i nie dosłyszał już ostatniej odpowiedzi dziadka.

II.

— No, są zmiany, Michas — ucieszył się dziadek jednego ranka, wchodząc do izby. — Miałem cię nawet zbudzić wczoraj, gdy wieczór wróciłem z zebrań, ale spałeś, żal mi ci było snu przerywać.

— Co takiego zaszło?

— Mamą więc nowego sołtysa nareszcie.

— Kogo wybrali?

— Zgadnij, jakieś mądry.

— Małka może?

— Nie, Franka Mleczkę.

— A dobrze to on będzie?

— Zobaczymy.

Dziadek usiadł przy stole i drobiać chleb do barszczu, który synowa przed nim postawiła, w dalszym ciągu był wesoły, śmiał się do myśli, które snuły mu się po głowie.

— A wiesz, kto to wszystko sprawił? Profesor Stepien, nigdy bym się tego po nim nie spodziewał, przecież on nawet przed swoją babą ucieka, a tu się postawił Rękasowi i całej sołtysowej kompanii. Przychodzę, a tu kancelaria już prawie pełna, dużo chłopów z tamtego końca wsi, dużo folwarcznych,

przy stole zaś siedzi profesor, a obok niego Pietrek Małek i Mleczki, Józek i Franek. Dopiero gdzieś tam w kącie dojrzałem Rękasa, Motykę i Batora. Polowy też był, ale stał za drzwiami, nie miał odwagi, widać, wchodzić.

— Zebranie zgalił profesor. No, mówić to on, jak sam wiesz, umie, nikt go we wsi nie zakasuje w tej mierze. Opowiada więc o rządzie naszym, który jest w Lublinie, o manifestie jakimś, że to się dzielić ziemię będzie i wreszcie zatrzymuje się na naszych przywódcach sprawach, powiada otwarcie — obywateli i sąsiedzi, wiecie dobrze, trzeba zmienić wszystko u nas, dopuścić ludzi dotychczas pokrzywdzonych do władzy, a tych, co nas męczyli, co nas gnębili za okupacji, usunąć od wszelkich wpływów i, postawić ich przed obywatelski sąd.

— Polowego w pierwszym rzędzie krzyknęła zaraz Sadrakulina.

— Inni też nie byli lepsi — dopowiada Małek. — Motyka na ten przykład ma na sumieniu nie jedno.

— Nie cackajcie się, do cholery, Rękas też taki sam — krzyczy naraz na całe gardło Broniek Regula. W innym czasie to przypuszczam ja tak, Rękas by nie wytrzymał, skoczył by do Reguły z pięściami, rzucił by go o podłogę, takie rzeczy to on przecież potrafił, tym razem opuścił głowę jak cap, skulił się, jakby się chciał zapasać pod ziemię. Nikt nie odważył się go bronić, nie wypadało mu więc nie innego, zlapał kapelusz i chyłkiem wyszedł z kancelarii.

— Co ludzie na to? — spytał Michas, uniósłszy się na łokciach i patrząc z największym zainteresowaniem na dziadka.

— Nie płakali, nie bój się, dopiero wtedy rozwinęły się im języki, każdy spod pierśi wygarnął, co czuł. Profesor słuchał tego wszystkiego, a gdy się już ludzie wygadali, podniósł się znowu, podziękował wszystkim za szczere wypowiedzi i naraz pyta:

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.

— No i kogo byście se sołtysem wybrali, mówcie tylko szczerze, by to był rzeczywiście głos narodu.



Tadeusz Kalinowski

Ratusz Poznański w czasie odbudowy

— Franek Mleczka, niech będzie, on nabił Rękasa kiedyś, on się nikogo nie boi — zaczęli wołać chłopcy.

Ktoś tam próbował wystawić kandydaturę Małka, ale chłopcy go nie słuchali, zostali przy swym Mleczce. No, więc jest nowy sołtys, a Rękas pójdzie łuskać groch za stodołę. Myślę, należy mu się ten odpoczynek — zaśmiał się nagle.

— Rękas jest nienajgorszy — szepnął Michas — pamiętam go przecież jak przychodził do ojca, kiedy ja byłem dzieckiem. Typem spod ciemnej gwiazdy, to jest przede wszystkim polowy.

— Chudobie też się już skończyły rządy, obraliśmy nowego polowego, będzie nim Węgieł.

— Ale dlaczego, z jakiej racji, to zebrań nie robił profesor? — zastanawiał się Michas.

— A bo on kręcił się koło starosty i coś tam znaczył — odpowiedział Sudaj. — Ciekawym jednak, czy tego rozpędu mu na długo starczy — uśmiechnął się — ciekawym. Mądry, rzetelny chłop, tylko strachem podsyty, nie ma w nim uporu, nie ma wytrwałości, które robią dopiero prawdziwego człowieka.

— Mówiliście, że będą dzielić ziemię, czy to już pewne, czy to nie pogłoska jeszcze?

— Prawda, Michas, w październiku podobno już to nastąpi.

— To ci będzie zdarzenie!

— Jak w roju będzie huczało — śmiał się dziadek, podchodząc pod piec i biorąc bat, który pozostawił tam przed kilkunastoma minutami. — Jak nam tak dadzą jaką morgę, to organizację Filelusa chyba zardrość zadusi.

— A niech udusi! — zaśmiał się również Michas. — O, ja mam na niego sposób, żeby się udobruchał — dodał.

— Powiem mu: co wy chcecie, wy dostaniecie dopiero ziemię, jak się zacznie dzielić kłose gruntu.

Teraz już obydwaj cieszyli się, dziadek i wnuk, śmiejąc się niemal do łez.

III

W poniedziałek dopiero miał Michas rozpocząć przerwaną naukę w szkole. Na razie włożył się po polach, po wsi, zaglądał nawet do nowego sołtysa Mleczki, mieszkającego w pobliżu drogi biegnącej na Sarnów. Michas przeżywał nową miłość, tym razem zachwyty dla życia jakie istniało w Armii Czerwonej. Chłopiec miał oczy otwarte już na wiele zjawisk, przypatrywał się czujnie i ze zrozumieniem ludziom i naturze, zaczynał się również coraz bardziej interesować zagadnieniami politycznymi. Zastanawiał się więc, co go tak ujęło za serce w żołnierzu radzieckim, przecież nie tylko uczucie wdzięczności, jako dla wyzwoliciela Polski, — w grę wchodziły sprawy innego rodzaju, sprawy czulsze, subtelniejsze, czerwonoarmieci najbardziej imponowali mu swoją prostotą, naturalnością, potrzebą radości, zwykłej ludzkiej zabawy. Uświadomił to sobie ostatecznie w niedzielę podczas uroczystości, które obchodził pułk rozlokowany w Przysmarkach i okolicy z okazji rocznicy swego bitewnego wyróżnienia.

Uroczystość, na którą prócz przemówienia pułkownika składały się i rozmaite występy artystyczne i tańce, odbywała się na połączonych ogrodach Sadrakuliny i Izydora Wilka. Jeszcze w nocy i rankiem kropił deszcz, ale później nie padało, dzień nastąpił wprawdzie pochmurny, lecz względnie ciepły i bezwietrzny. Na ogrodzie u Wilka mieściły się stoły z pieczywem, z kielbasą, wódką i papierosami, a u Sadrakuliny na gęstej, zielonej murawie pod stodołą odbywały się występy i tańce.

Michas poszedł dopiero około czwartej, by przypatrzeć się tancom. Było już po przemówieniach oficjalnych, pod jaśminami, orzechami i siwami uoczyły się grupy żołnierzy. Na murawie tańczyły trzy łączniczki ubrane w zielone bluzy, granatowe spodniczki i buty z cholewami i pokrzykując śpiewały czastuszki, a obok siedząca gromada oficerów, kłaczając, radując się, jak na chłopie wesołu.

Cnyba cała wieś przybyła w ogrody, by przypatrzeć się zabawie Rosjan. Nie brakowało tu sołtysa Mleczki, ani wielu starszych chłopów, byli również profesor Stepien z żoną, były panny Bieleckie i ich czupurny brat, Czesław.

Michas chciał uniknąć spotkania z Bieleckim, ale nie dało się, panny otoczyły go i nieprędko puszczły od siebie.

— Patrz, jak on wyrósł, to już mężczyzna, jak babcię Kocham — śmiała się puciołowata Marysia. Irenka, biała, trochę niespokojna nie zawtórowała jej śmiechem.

— Pójdiesz już do szkoły? — zapytała.

— W poniedziałek.

— Będziesz dalej dojeżdżał rowerem?

— Na piechotę przecież nie będę chodził.

— Nie wiem, czy nadrobisz, sakramencko jest dużo nauki, na przykład, ten profesor Dul, to zupełnie zwirował, tyle zadaje, ja mu chyba skuję głębie — wtrącił się nadąsany Czesław.

— Nie bój się, Michas, da sobie radę — i jeszcze mnie pomoże. Pomożesz? — uśmiechnęła się, lecz uśmiech jej nie był naturalny, oczy patrzyły obco, jakby ciągle były gdzieś daleko myśla.

— Zakocha się w tobie, to i pomoże i będzie jak piesek siedział przy twoich kolanach — chichotała znowu Marysia.

— Uhm — wydeła nagle wargi — nie ma na kogo tu patrzeć. Niemcy to były urodne chłopaki, ale ci, pożałuj Boże, jak ten mundur leży choćby na tym pułkowniku.

Czesław odciągnął już Michasia od siostry i przeciskał się z nim coraz bliżej stodoły.

— To mi wojsko — szemrał — oficer, który pije z prostym żołnierzem, co to za oficer. U nas to był sztyk, to była armia.

Michas nie słyszał już słów kolegi, wytrzeszczonymi z podziwu oczyma bowiem oglądał rozgrywaną się scenę. Po lejtendantie Rudence, który odtańczył wśród śmiechu kolegów kozaka na murawie, wystąpił teraz sam pułkownik. Był to mężczyzna może już pięćdziesięcioletni, wysoki, suchy, z wesołym okiem. Czapkę rzucił i spychając Rudencę z murawy, przyklaskał sobie i naraz poszedł w przysiad. Oficerowie już teraz śmiali się do łez i klaskali bez pamięci.

— Nie wytrzyma! — krzyknął jakiś wysoki kapitan.

— Co? — oburzył się pułkownik i z większą jeszcze radością i zapamiętaniem poszedł po murawie.

— Wzruszając — szepnął Michas, — Czesiu, doprawdy to wzruszające.

Czesław jednak gryzł wargi, dusił w sobie rozrywającą go złość i nienawiść.

— Wieczorem będzie film, przyjdiesz? — mruknął dopiero po chwili.

— Film? — uradował się Michas. — Gdzie?

— Chyba tam, gdzie zawsze.

— Ja nie wiem, ja nie byłem.

— Wyświetlają u dziadka Motyki, ekran zawieszają na stodołę.

— Dobrze, żeś mi powiedział, przyjdę, na pewno przyjdę — szepnął Michas z nieopuszczającą go wciąż radością.

(Dokończenie na str. 2)

JAN CZARNY

W 12-lecie powstania I Dywizji

Listonosz trzeciego pułku

Co to znaczy kiedy się śni listonosz, poległy listonosz trzeciego pułku? Chodzi za mną, jakby mi miał doręczyć list.

Szuka mnie pomiędzy pniami drzew i namiotami i chrząści nową, skórzaną torbą. Ma oficerski mundur z białą, czyściutką wypustką na kołnierzu.

W jego pośpiesznych ruchach i niepewnym spojrzeniu skrył się niepokój o dzieci i żonę i o drzewka morwowe zasadzone w dalekim Chersonie.

Spiesz się jak zawsze, myśli, że gdy rozda wszystkie listy, skończy się wojna. Ale dywizyjny pocztynion daje mu wciąż nowe.

Tuż pod sercem, na jego nowym mundurze, widnieje mała, pełna krwi przestrzelina, podobna do czerwonej, lakowej pieczęci.

Matka

...Sama słyszałam od majora: Bombardowano tratwy. Zginął... Na Wiśle zginął przy przeprawie... Stała bezradna, przeświecona bólem, żalobą, czarnym kirem, do siebie samej niepodobna. Tak długo stała i czekała, abym zaprzeczył — nie przeczyłem, bo od niej pierwszej usłyszałam żalobną wieść.

Jej syn nie zginął, odwołano mylną wiadomość po miesiącu. — I stał się cud, bo znów odżyło serce matczyne; ziarno pszenicy zasuszone nie wierzy w śmierć i długo chowa nadziei rdzeń zielony.

Gitarzysta Rutkowski

Jeszcze dziś słyszę delikatny dźwięk twojej gitary i głuche, artyleryjskie salwy od których tylko drżała wiklina i dym z ziemianek przypadał do ziemi. Razem z nimi poszedłeś, ze swoim plutonem. Byłeś bezradny i ufny w swój instrument, kiedy chłopcom grałeś w okopie. Gdy wtem pękły wszystkie struny naraz i wraz z nimi twoje ciche granie. I tylko wielki lej został po okopie.

* Fragment powieści pt. „Bliski kraj”, która ukazuje się w tym roku nakładem „Czytelnika”.

Zwykłe życiorysy

Kilkanaście prac spośród wielu nadesłanych na konkurs „Łódzkiego Expressu Ilustrowanego” — to doprawdy pasjonująca lektura. Nieznani sobie ludzie, różni wiekiem, zawodem, przeżyciami i doświadczeniem piszą, jak zmieniło się ich życie w ciągu naszego dziesięciolecia.

Jest w tych wypowiedziach, choć różnych dotyczących sytuacji życiowych, odmienne przedstawiające losy, pewien wspólny akcent, odczucie podstawowej prawdy naszych czasów — humanistycznego charakteru dzieł Polskiej Ludowej.

„Dając mi pracę, naukę, równouprawnienie, przywraca mi sponiewieraną przez polskich pracodawców i zdeptaną przez hitlerowskich zaborców rzecz najdroższą i najcenniejszą — godność ludzką. Czy można takiej ojczyzny nie kochać?” — pisze Maria Cahujek.

Godność ludzka... pojęcie szerokie, lubią nim szermować w mglisty sposób nasi polityczni wrogowie, lecz jakże je konkretnie, głęboko rozumieją ludzie naszego kraju.

Maria Cahujek, przed wojną służąca u fabrykanta Tietzena, człowiek, który — jak pisze — „nigdy nie mógł mieć własnego zdania, własnej myśli, ani odrębny czasu dla siebie”.

Nie myśl, gdyż skoro tylko otworzysz oczy na świat, zaczniesz go rozumieć — staniesz się moim wrogiem. Znała to dewiza, zawsze i wszędzie kierując się nią kapitalista w stosunku do wyzyskiwanego. Te antyhumanistyczne rzeczywistości z międzywojennych lat uświadamia sobie dawna służąca po raz pierwszy wtedy, gdy z trudem przypomina sobie w 1945 roku sztukę czytania i pisanie. A później już stale w ciągu 10-ciu lat. I przy tablicy szkolnej, w czasie rozwiązywania zadań matematycznych, podczas pierwszych po 40-stu latach życia zachwytów nad poezją Mickiewicza i w czasie zabaw, jakie urządzali sobie nieco już posiwiali maturzyści. Pałac Tietzena przy Łąkowej zamieniono na przedszkole, Maria Cahujek jest wykwalifikowanym, posiadającym średnie wykształcenie, pracowniczką przedszkola. „Dwadzieścia lat temu — pisze — znegam warunkami i traktowaniem — pragnęłam śmierci. Dziś, mimo że już piąty krzyżyk poważnie wchodzi na ramiona, czuję się młodszą i pełniejszą życia... Bo też dziś warto żyć”.

Trudno doprawdy o wypowiedź bardziej afirmującą humanistyczny sens przemian zachodzących w człowieku na przestrzeni dziesięciolecia. Ludzie, którzy w latach wyzysku nie mieli nic do stracenia — teraz, w trudnej pracy nad sobą, zyskują powoli wszystko. Zyskują godność ludzką, o której pisze Maria, albo inaczej — pełne szanse wyzwolenia wszystkich twórczych zdolności, jakie posiada pracujący człowiek.

Są u nas w kraju ludzie, przychodzący, chytrzy reakcjonści, którzy próbują w delikatny, zawołany sposób przekreślić to, co w naszej rewolucji kulturalnej jest najistotniejsze. Szepczą po kątach, że rewolucja, co... owszem — wszyscy umiemy czytać i pisać, ale żeby rozumieć, co naprawdę w świecie słychać? Marksizm — panie dziejku — odgródź nas od świata, przestajemy rozumieć o co chodzi! Nie pierwszy raz się zdarza, że kiedy wróg powiada „czarne” — jest akurat przeciwnie. Umiejętność czytania i pisanie? Mamy już to poza sobą.

W 1945 roku zbierał Adam Mazur, dziecko wynędzniałej wsi rzeszowskiej, złom na ulicach zniszczonego Wrocławia. W trzy lata później przeniósł się do Łodzi.

„Łódź, miasto dymiących kominów fabrycznych, wielkie skupisko klasy robotniczej, Łódź naprawdę przekuła mi duszę, że dziś inaczej i więcej rozumieć, niż wtenczas, gdy jechałam w podniszczonym pociągu z Wrocławia”.

Przygodny zbieracz złomu przemienia się w świadomego robotnika Centrali Eksportowej, który rozumie, że jego sprawność i pomysłowość w pracy toruje Polsce Ludowej drogę na gospodarcze rynki świata... „inaczej czułam, już nie byłam jak ten okrutny bezbusi”. Mówiąc o busoli Mazur ma na myśli zasadniczy, ideowy sens pracy nad sobą. Jeżeli mimo przemęczenia uczył się wytrwale, jeżeli spędzał noce nad książkami to po to, by poznać świat, odpowiedzieć sobie na pytania: jakie prawa rządzą ludzkim społeczeństwem, na czym polega naukowe uzasadnienie socjalizmu i naszej do niego drogi.

W 1950 roku kończy kurs handlu zagranicznego, raz na zawsze zaspokaja przepaść dzielącą pracę umysłową od fizycznej, studiując pilnie języki — niemiecki, angielski, rosyjski, francuski, zostaje referentem handlu, kontaktuje się z całym światem.

„Latem 1953 roku Komitet Centralny naszej Partii i rząd nasz... wysłali mnie, zwykłego chłopca, do Korei, by tam, już po podpisaniu rozejmu, brać udział w pracach Komisji Repatriacyjnej”.

I jakże w świetle tego życiorysu wygląda teoria o zamknięciu przez marksizm bramy do szerokiego świata?

Mazur jest i z innego powodu przykładem niezwykle wymownym. Jego bujne, pracowite życie pokazuje, że intelektualny rozwój ludzi pracy w Polsce Ludowej wiąże się ściśle ze wzrostem ich dojrzałości politycznej. Właśnie to powiązanie sprawia, że była analfabeta, Katarzyna Nowacka z Wiskitna, może powiedzieć o sobie: „dawna służa dziedzica, dziś współgospodyn ludowa”. Godność ludzka oznacza więc pełną możliwość aktywnego kształtowania losów rodzinnej gromady, bliskiego sercu miasta, które „przekuło duszę”, wreszcie całego narodu...

Warto czytać zwykłe życiorysy, warto śledzić osobiste doświadczenia człowieka w naszym 10-leciu. Ileż obalają one błędnych, szkodliwych lub wręcz wrogich poglądów!

Kiedy młody magister Roman Dziwulski z Konstanczowa pisze o swojej dramatycznej drodze do ZWM — to przeczy tym, którzy twierdzą, że w Polsce istniała jakaś mgławicowa „tagodna rewolucja”, „rewolucja bez narodu i bez walki” lub, że jej wcale nie było. Słychać podobne sformułowania z ust tych, którzy wierzą w każdą dyktaturę, wyjawiając dyktaturę proletariatu.

Dziwulski, jako kilkunastoletni chłopiec, stoczył trudną, pełną wewnętrznej szarpaniny, walkę z panem majstrem szewskim. Nieludźko wyzyskiwany w pierwszych powojennych latach, podlegał początkowo drobnemu kapitalizmowi, pracując 15 godzin na dobę, wierzył przecież, że jest mu „jak u pana Boga za piecem”. Walka młodych czeladników o ustawowy dzień pracy, godziwy zarobek, prawo do nauki — przypomni-

nająca trochę dzieje Szczesnego — przełamywanie lęku przed wielką, socjalistyczną fabryką — określa inny, niezwykle istotny aspekt minionych 10-ciu lat. Nim przyszły magistrant wyzwole się spod wpływu pana pryncypała, odrzuci podsuwany kieliszek z wyborową wódką, nim go socjalistyczna fabryka wysła na studia — musi stoczyć walkę z wrogiem i samym sobą.

Cóż powiedzieć o niezwykłych losach Stanisława Andrzejewskiego, obalamyconego przez wrogie podziemie, chłopca, który wykradał amunicję z magazynu wojskowego? Cóż dopiero mówić o więzieniu! Twarda to szkoła dla młodego człowieka, przeszedł ją jednak szczęśliwie. Jest dziś studentem Politechniki.

„Polska Ludowa nie zrezygnowała z nas młodych — pisze — idących drogą przestępstw... odrodziła nas moralnie, przywróciła nam pragnienia młodzieży, która walczy o postęp. Przykro mi, że nic z siebie nie dałam dla swej ojczyzny w okresie dziesięciolecia”.

Andrzejewski trochę się myli. Kilku-letni okres załamań, wewnętrznych rozterek, głębokie rozczarowanie i odrzeka od wrogów ojczyzny, gruntowne przemyslenie politycznej sytuacji w kraju i świecie — to zespół bezcennych doświadczeń, które w decydujący sposób kształtują przyszłość niejednego młodego człowieka.

Chodzi wszakże o sprawę szerszą. Przywracanie człowiekowi godności, jego wszechstronny, choć nie zawsze prosty wzrost — są to procesy, dokonywane się w ostrej walce klasowej, która nie ma nic wspólnego z „rewolucją bez narodu”, przeciwnie — z niego samego wynika.

WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

PAMIĘTNE DNI

(Dokończenie ze str. 1)

cią... Rozstał się z Czesławem i znów zbliżył się do stodoły. Na murawie było narazie pusto, żołnierze i oficerowie siedząc lub stojąc przy stołach raczyli się wódką, pili na cześć swoich zwycięstw i bliskiego końca wojny.

Przy jednym ze stołów Michaś zobaczył leżącą na stole książkę, ten i dziś nie pozwolił sobie na szaleństwo, stał naburmuszony trochę, jakby się głowił nad nierozwiązanym zadaniem matematycznym, i dyskutował z jakimś wysokim, niemłodym już majorem.

Michaś rozglądał się, czy nie zobaczy również gdzieś w pobliżu lejtananta Rudenki, ale oto Rudenko już przesuwał się ku niemu i śmiał się i trząsał nim serdecznie jak gruszką, bynatrząść sobie owoców.

— Widziałeś Rabuchina? — wołał.

— Kogo?

— Naszego dowódcę. A co, wspaniały, nie? 52 lata ma staruszek a pobit nas na głowę, gdy zatańcował.

Michaś uśmiechnął się łagodnie i kiwał głową.

— Żebyś ty go widział na froncie. Pod Kowlem był ranny, a już wrócił do nas po trzech tygodniach. On znał Lenina, on stary bolszewik...

Michaś pośpiesznie zjadł kolację i udał się zaraz z wieczora w kierunku zabudowań Walerego Motyki, gdzie miał być wyświetlany film. Przybył za wcześnie, przyszło mu czekać z godzinę. Zarówno orząd Motyki, jak pobliskie pola wypełnione były gromadami ludzi wsiowych i liczną masą żołnierzy. Michaś chciał sobie znaleźć ustronne miejsce, gdzieby mógł samotnie i w skupieniu przeżywać obrazy, które będzie widział, nie sprzyjało mu jednak szczęście, ledwie oparł się o akację stojącą na uboczu, gdy podeszli do niego Bieleccy i ponowili na teren położony bliżej ekranu. Marysia była dziś z jakimś nieznanym młodym człowiekiem z Tarnomyśla, Irena była bez kawalera, towarzyszył jej chłmućny, wiecznie czegoś nadający Czesław.

Film z początku nie zajął Michaśa, był bez akcji, bez wątków osobistych, do tego opowiadał o czasach odległych, bo o wojnie, którą prowadzili Rosjanie z Napoleonem. Stopniowo jednak sceny bitewne i obozowe, którym był głównie poświęcony film, wciągnęły go, gdy zaś na ekranie odśladano się począł w wielkim rozrachunku i potężnym napięciu uczuciowym bitwa pod Borodino, Michaś zatracił się już w przeżyciu, ledwie pamiętał gdzie jest i że Irena Bielecka raz po raz opiera się o niego.

— Jakże to pięknie! — westchnął, Irena jednak nie zareagowała na jego słowa.

— Czemuż uciekasz, czy aż tak jestem ciężka — powiedziała z wyrzutem. Zdecydowanym ruchem poszukiwała dłoni Michaśa i podniosła ją ku swemu sercu, dając mu wyraźnie poznać, by ją objął.

— Nuda, wojna i wojna, chodźmy Michaśu — szepnęła.

— Ależ zaczekaj, jakże to, nie darowałbym sobie, żem odszedł.

— Masz też na co patrzeć. Ja zupełnie nie wiem, o co się tu rozchodzi...

Kreśliła się, dawała mu do zrozumienia, że z trudem trzyma się na nogach i już nie patrzy na ekran, ale Michaś nie dawał postępu jej słowom, wciąż stał i patrzył na obrazy, które poruszały jego serce do żywego,

Gdy film się skończył, zrozumiał dopiero, że są sami. Marysia z swoim kawalerem już odeszła, zniknęli również Czesław w ciemnościach nocnych.

— Chodźmy przez pola, można przejść przez ogród Reksa — rzekła Irena. Jeszcze ciągle była o kilka centymetrów wyższa od niego i to go onieśmielało najbardziej.

— Wiesz — zaczęła znów — nie wiem, czy nie rzucę tej szkoły, przecież ja już mam 20 skończonych, za stara jestem, nie dam sobie rady.

— Dlaczego? — zaprotestował — będziemy się razem uczyć w trójkę do matury, na pewno ją zrobimy.

— A poza tym ja mam już życie za sobą. Ty słyszałeś co o mnie i o Stefku Miarkowskim?

— Słyszałem.

— Ale i tak połowę zaledwie wiesz. Najważniejszego nikt nie wie, prócz mnie.

Głos jej był nabrzmiały od bólu i gniewu i to go dotkliwie przejęło. poczuł się bezradny, nie wiedział co ma zrobić, co mówić.

— Kochałaś go? — wybałał.

— To mało. Mogłam już być matką dwa razy — wybuchnęła.

— Gdzie Stefan jest teraz?

— Czy ja wiem. Jeśli nawet żyje, to i tak na nic, przecież on rzucił mnie, gdy jeszcze był w Przemyśle.

— Ciebie rzucił? — zdumiał się naiwnie Michaś — jakże to, ty jesteś taka piękna...

— Tak sądził? — zawołała, nie dając się jego słowom. — Powiedziałam to wszystko tobie, bo wiem, że mnie zrozumiesz i nie zdradzisz.

— Nie ma obawy.

— W domu wszyscy są mi obcy. Szukam człowieka, który by mi mógł pomóc. Gdybyś ty był starszy, ale ty, co ty wiesz o życiu.

Przeszli już przez ogród Reksa, wydostali się na zewnątrz i po chwili zbliżyli do dawnego domu Symchy Bluma, w którym mieszkali Bieleccy.

— Do jutra — powiedziała, jakby ociągając się Irena i zniżyła głowę. — Pamiętaj, wszystko to nasz sekret, nie wykołowyłabym ci nigdy, gdybyś ty choć choćby szepnął w szkole.

— Ja nie z takich.

— O tym to ja wiem dobrze... No, nie zatrzymuję cię, przecież ty jesteś po chorobie — rzekła. Uściśliła mu rękę po męsku i udała się w kierunku domu, nie otwierała jednak drzwi, usiadła na ławce stojącej przy domu i odczekała głęboko.

— Idź, idź — zawołała — ja tu poczekam na moich...

Michaś wyszedł na zewnątrz i był oszołomiony, jakby miał lekką gorączkę. Z ogrodów niesły się wciąż odgłosy muzyki.

STANISŁAW PIĘTAK

W następnym numerze:

Seweryna Szmaglewska

„SPOTKANIA WIEDEŃSKIE”

KAZIMIERZ GRUS



W krótkim odstępie czasu Łódź twórcą spotkała druga, wielka strata. Dnia 30 czerwca zmarł najwybitniejszy i najstarszy wiekiem, do końca czynny, rysownik i karykaturzysta, Kazimierz Grus.

Kazimierz Grus urodził się 23. VIII. 1886 w Murzynie pod Inowrocławiem. Gimnazjum ukończył w Trzemesznie. Studia ekonomiczne, a potem artystyczne odbywał w Leodii, Berlinie, Monachium, Paryżu.

Był niewątpliwie wyjątkowo barwnym i rasowym przedstawicielem tego, co się potocznie określa słowami „cyganeria artystyczna”, należał w różnych okresach czasu do rozmaitych środowisk twórczych, działał w niejednym kraju. Zasłynął zwłaszcza jako karykaturzysta zwierząt.

Jako człowiek i jako twórca odznaczał się wyjątkową fantazją, humorem i optymizmem.

Najwięcej, rzecz jasna, rysował w pismach polskich, ale też był znany odbiorcom niemieckiego „Simplicissima”, rosyjskiego „Budinika” i „Satirikona”. Miał liczne, wielonarodowe przyjaźnie.

Grus w pewnym sensie reprezentuje dzieje ostatnich dziesięcioleci polskiej karykatury, wywarł olbrzymi wpływ na naszych najlepszych współczesnych rysowników.

Łączył w swojej osobie zalety świetnego artysty-rysownika z cechami dobrego felietonisty i anegdociarza.

Jeszcze w roku 1913 bawił na Bałkanach jako korespondent „Tygodnika Ilustrowanego”. Był felietonistą w „Sowizdrzale” Władysława Nawrockiego, gdzie — dla odmiany — rysował Antona Słonimski.

Brał czynny udział, jako autor plakatów i rysownik „Kocynadra”, w akcji plebiscytowej na Śląsku.

Współpracował jako ilustrator z autorami książek dla dzieci i młodzieży, jak na przykład z Kornelą Makuszyńską, a w ostatnich latach z Janem Żabińskim.

W czasie okupacji dostarczał rysunków do prasy podziemnej, przebywał w Warszawie, a wyzwolenie przeżył w Częstochowie. Po wojnie natychmiast zjawił się w Łodzi i przystąpił do pracy.

Trudno w tej chwili wymienić tytuły wszystkich pism, z którymi współpracował Kazimierz Grus. Przed wojną: „Też”, „Szczutek”, „Mucha”, „Cyrułik warszawski”. Po wojnie — przede wszystkim „Szpilki”.

Trzeba z całym naciskiem podkreślić, że zarówno nasze wydawnictwa, jak i prasa — zwłaszcza łódzka — nie umiały ani docenić, ani we właściwy sposób wykorzystać bujnego i żywego do ostatniej chwili talentu Kazimierza Grusa.

Kazimierz Grus był laureatem Nagrody Państwowej w dziedzinie karykatury politycznej, został po sobie dużą ilością nie wykorzystanych rysunków.

Proszę o głos!

Teatr czy „ciuchy”

MOWI się, że o młodzieży w ogóle wiemy mało, a o młodzieży artystycznej jeszcze mniej. I to jest prawda. Gdy bowiem młodzież jest w szkole, mamy możliwość obserwować ją, śledzić jej rozwój, przypatrywać się jej działalności. Kiedy jednak opuści szkołę i pójdzie w świat, tracimy ją z oczu i słabo mamy pojęcie o jej dalszym losie. Szczególnie trudna jest tutaj sytuacja młodzieży aktorskiej. Po studiach idą młodzi aktorzy do teatrów i tam usiłują w zespół, zracając najczęściej aktywność intelektualną i organizacyjną, bądź to pod wpływem otoczenia, bądź też (co jest zjawiskiem częstszym) na skutek uwolnienia się od „rygorów uczelni”, których przestrzegało się jedynie do czasu otrzymania dyplomu.

Jakże to znany przypadek, że uczeń, który w szkole był czynnym członkiem ZMP, po wstąpieniu do teatru przestaje się organizacją interesować. Bo tu, w teatrze, nie jest mu już ona potrzebna, bo tu nie ma już „niegrozi”. I dlatego praca ZMP w teatrach na ogół kuwleje, a jeśli grupy zetempowskię przejawiają jakąś działalność, to jedynie formalną, polegającą na „odfajkowaniu” zagadnień.

Trzeba powiedzieć otwarcie, że młodzież aktorska, opuszczając uczelnię, ma duże braki. Młodzi absolwenci szkół aktorskich nie umieją mówić prozy (coż dopiero wierszu) i nie robią nic lub tak mało, by się swych braków pozbyć. Czekają na rolę Romeo i Hamleta, czyniąc niewiele, by dobrze opracować powierzony im postać epizodyczną. Wielkie i zatrważające są braki w zakresie wykształcenia zawodowego i kultury ogólnej. Młody adept nie zna historii i teorii dramatu, jego znajomość aktorstwa polskiego sięga do Jaracza i Kamińskiego, o Feldmanie wie, że to aktor, ale nie wie, że to aktor, i że młodzi aktorzy nie orientują się w prądach i kierunkach filozoficzno-literackich, nie znają najważniejszych dzieł literatury ojczystej. Przykład: pewien aktor uważa, że pozytywizm narodził się w wieku XX, inny zapytywał nieśmiało, o czym Słowacki pisze w „Fantazym”, bo on „tego” nie czytał. Ale nie jest to ważne (choć gorszące), że nie wiedzą — ważniejsze i smutniejsze, że z góry niewiele, by wiedzieć, by się uczyć. Sądzę, iż jakąś część odpowiedzialności za ten stan rzeczy ponoszą programy i metody nauczania. Pogadajcie z artystami starszego pokolenia: każdy z nich wchodził w „życie sceniczne” z pełną znajomością Freydy i romantyków, to była ich zaprawa, ułatwiająca im później pracę nad niejedną sztuką i rolą w ogóle. A przecież starsza generacja aktorów wychowana była w stokród gorszych czasach. „Nikogo z nas nie uczono za darmo — mówił mi niedawno aktor P. — a dziś nie tylko darmo uczyć, lecz jeszcze stypendia dają”. Doprawdy, czas już „użyć

do galopu” naszą młodzież artystyczną. Polsce, która stworzyła jej takie warunki, winna ta młodzież odplacić tym, co jest najcenniejsze: pracą, pracą i jeszcze raz pracą.

Osobne zagadnienie stanowi sprawa etyki i moralności zawodowej. Nie mówimy już o tym, co w tej dziedzinie osiągnął Mchat: są to chyba niedostępnym szczyty. Myślimy o podstawowych obowiązkach i zasadach pracy i postępowania aktora. Dlaczego tak się dzieje, że właśnie młodzi spóźniają się na próby, że w ostatnich chwilach wpadają do garderoby, a potem z wywieszonym językiem pędzą z garderoby na scenę? I coż tu mówić o „wewnętrznych przygotowaniach” aktora do każdorazowego występu, o wniesieniu w akcję, w tok myślenia i działania partnera.

Młodzi aktorzy za mało pracują nad sobą. Styl ich życia pozostawia często bardzo wiele do życzenia. Przesiadują całym wieczorem po kawiarniach, uganiam się za „ciuchami” amerykańskimi, cynicznie się u nich „zawodowość” przetrząsa się u nich w skostnienie i rutyniarstwo.

Oto są sprawy, z którymi trzeba walczyć w teatrze i poza teatrem. To są problemy, które utrudniają podnoszenie poziomu na wielu scenach i demoralizują ludzi o nienagannym stosunku do swej pracy, bo przecież i takich wśród młodzieży jest niemało. A nie zapominajmy, że widz nasz, którego świadomości kulturalna podnosi się z roku na rok, zgłasza coraz większe wymagania pod adresem teatralnych placówek. Widz nie tylko patrzy i ocenia, widz wysuwa wymagania, widz stawia pytania i zagadnienia, na które teatr musi odpowiedzieć.

Są teatry, w których prowadzi się systematyczne rozmowy z widzami. Wiele cennego materiału można znaleźć w wypowiedziach nowych dywalców teatru. Oko ich, świeże i niezdegenerowane, chwytają w lot wszelką szmirę aktorską, wszelką wulgarność i tawiznę. Widz nie tylko upomina się o właściwy, coraz ambitniejszy repertuar (polskie sztuki klasyczne i współczesne przede wszystkim), widz upomina się także o piękną grę, o nieskazitelną interpretację tekstu.

Te sprawy wydają mi się godne jak najszerszego przedyskutowania. Walcząc o czystość polityczno-moralną i artystyczną w teatrze, przyczynimy się do tego, że poziom poszczególnych scen będzie stale wzrastał i przyjdzie czas, kiedy nie będziemy mówili o potrzebie powstania jednego, „gigantycznego-uзорowego” teatru (jak tego chcą niektórzy), lecz oceniali realne wyniki wielu doskonałych teatrów, umacniających i rozwijających kulturę Polski Ludowej.

KRONIKARZ

KRYTYK teatralny, który przyjeżdża z Warszawy do Moskwy, nie wstępuje na ziemię nieznaną, nie ma w sobie nic z zaskoczonego, zablakowanego turysty. Przeciwnie. Coroczne wizyty najlepszych zespołów radzieckich zapoznały go dobrze z problematyką teatrów, zorientowały jako tako w „geografii”, wskazywały co najpilniej trzeba zobaczyć. Pozostaje tylko sprawa bliższego adresu. Ale od czegoż są wygodne, tanie i zawsze uchwytne moskiewskie taksówki.

W taksówce jednak sprawa się komplikuje. Szofer od razu poznaje cudzoziemca. I teraz właściwie wszystko zależy już od niego, od jego sympatii i antypatii, od jego gustów i przyzwyczaję. Zaczyna się stereotypowa rozmowa.

— Wy cudzoziemiec?

— Tak, Polak.

I po chwili:

— A w tym teatrze (jedziemy do teatru im. Wachtangowa) byliście już?

— Nie, jadę właśnie pierwszy raz. Chciałbym zobaczyć „Czajkę”.

Zdziwienie:

— „Czajkę”? A sztukę Fieldinga w Teatrze Satyry — widzieliście?

Przyznaję ze skruchą, że nie widziałem, czasu było tak mało, a tyle obowiązków, tyle rzeczy ciekawych...

Ale dla uprzejmego szofera takie wyjaśnienie jest zwykłym wykrętem. Fielding — świetny pisarz angielski, przenikliwy, demaskatorski, jak kapitalnie potrafił przed dwustu laty patrzeć na ludzi, rozumieć ich... A Czechow? No, oczywiście, także, ale to przecież znana historia. Czechow trz ba w szkole czytać, na szkolnych przedstawieniach oglądać, a tu się zdarza Fielding...

I sami młodzi aktorzy grają... Bardzo dobrze grają — dodaje ostateczny argument.

Nie jestem wciąż przekonany, więc przychodzi jeszcze ten argument „najostateczniejszy”.

ZYGMUNT GREŃ

W TEATRACH I W PAŁACU

(Kariki z notesu)

— Przecież teraz mamy rok Fieldinga, na zlecenie Rady Pokoju. Koniecznie trzeba zobaczyć!

Wewnętrznie już kapituluję. Stoimy przed czerwonym sygnalem w olbrzymim sznurze aut na ulicy Gorkiego. Nie przedko przejeździemy. Szofer jest wyraźnie zadowolony.

— Do teatru Satyry już niedaleko — powiada. I pewny zwycięstwa, uprzednie zwraca rozmowę na inny temat.

— A tędy jedzie się na Wystawę Rolniczą. Byliście już tam? Wspaniała, prawda?

I teraz decyduje się na gest desperacki. Krzyczę, że nie byłem, że zapomniałem, że na gwałt muszę jechać na Wystawę Rolniczą, tym razem wieczorem. Podobno wtedy jest najefektowniejsza. Ale nie zobaczyłem ani świetnej „Czajki” w Teatrze Wachtangowa, ani Fieldinga...

Zainteresował mnie natomiast entuzjazm owego szofera dla pisarza zdawałoby się — mało znanego i trochę już, ale odrobnie, jak się to mówi, trącającego „myszką”. Zacząłem sprękać, w Moskwie, potem w Leningradzie i w Kijowie, studiować plany teatralne, bieżące i caloroczne. Okazało się, że nie tylko Fielding. Okazało się, że teatry radzieckie bardzo żywo interesują się wczesną dramaturgią zachodnio-europejską, szczególnie angielską. W zmieniającym repertuarze scen każdego wielkiego miasta można zawsze trafić na sztuki Fieldinga, Goldsmitha, Ben Jonsona no i oczywiście — Szekspira. Poza tym ostatnim są to nazwiska zupełnie nieznane naszym widzom teatralnym. Chociaż dla ścisłości trzeba powiedzieć, że

dzisiaj to i Szekspir naszym naprawdę dobrym znajomym ze sceny nie jest...

Przyczyny tej popularności dramatu angielskiego są na pewno bardzo złożone. Tkwią zarówno w obiektywnych wartościach tych sztuk, jak też w przyzwyczajeniach i gustach radzieckich widzów.

Rozmawiam w Leningradzie z reżyserem sztuki Goldsmitha, granej pod tytułem „Omyłki jednej nocy”. Wykłada mi swoje rozumienie dramatu angielskiego z początków XVIII wieku. Rewolucja Cromwella dała tam władzę i niezależność ekonomiczną mieszczaństwu, zupełnie do tego nie przygotowanemu. Na literaturę i sztukę spadł wtedy obowiązek poszukiwania nowych antyfeudalnych norm prawnych, moralnych, estetycznych — dla ludzi, którzy odrobnie zawiśli w próżni. Stąd cały dramatyzm tej literatury i jej drażliwość społeczna, obyczajowa, moralna, ukryta pod kostiumem przeciętności mieszczańskiej, i w osobach zwyczajnych kupców. Trzeba umieć tylko oddzielić ten kostium od całej prawdy ludzkiej, prawdy społecznej. Tym się pasjonowałem i ja i aktorzy — kończy zwierzenia reżyser.

Ja zastanawiałem się tymczasem, czym pasjonuje się publiczność na Leningradzkim Goldsmithie czy moskiewskim Fieldingu. Oczywiście — czym poza świetnie postawionymi sprawami aktorskimi? Myślę, że sztuki tego typu zaktualizowały się dla ludzi radzieckich przez ich własne doświadczenia. Jeszcze lata trzydzieste niósł tam jakże podobną sytuację: poszukiwania nowych wartości moralnych i estetycznych, poszukiwania odpowiedniej postawy dla społeczeństwa już

uformowanego ekonomicznie. I mimo iż rzeczywistość treść tych sytuacji była zupełnie odmienna — owe dramaty angielskie sprzed dwustu lat niosą w sobie jakby częśćkę o wiele nowszej, o wiele bliższej i bardziej pamiętnej historii.

Inna oczywiście sprawa z Szekspirem, którego popularność opiera się tu trochę na tych samych zasadach, co np. Lope de Vega.

Szekspira w teatrach radzieckich można oglądać często, oglądaliśmy go także na gościnnych występach w Polsce w wykonaniu świetnego zespołu Teatru im. Wachtangowa i Teatru Moskiewskiego. Tym co wtedy budziło dyskusję, wywoływało spory, zjednywało zwolenników i antagonistów, było jakiegoś bardzo widowiskowe, bardzo — ludowe — traktowanie zarówno dramatu jak komedii. Ludowe w tym sensie, że prawdę ideologiczną czerpało z fabuły uproszczonej niemal że do jasności moralitetu albo ludowej przypowieści, pozostawiając przy tym całą konwencjonalność czy sensacyjność szekspirowskich sytuacji, ulubionych przez ludowe go widza teatru „Globe”, chociaż nie zawsze znośnych dla nas.

Widziałem przedstawienie „Romea i Julia” w Kijowie, w Teatrze Rosyjskiego Dramatu. Bardzo dobitnie poświadczają one, że w tych wszystkich dyskusjach uchwyciliśmy węzłowy punkt zagadnienia. Może tylko zbyt wiele przypisywaliśmy czasami jakimś założeniom ogólnym, — jakimś koncepcjom inscenizacyjnym. W każdym razie trudno było o tym mówić w Kijowie. Ton artystyczny przedstawienia i jego sens ideologiczny wyphywały tu niemal wyłącznie

nie z kreacji aktorskich. Jego — ludowe — pełnia życia — proste, ludzkiego, niemal codziennego — przeplatającego, przez scenę, były tu tylko funkcją żywiołowego temperamentu młodych artystów, którzy chcieli mówić o życiu, a nie o jego refleksach. Chcieli mówić o zwykłej miłości, która w pętach obyczajowych i moralnych przegradowała stała się miłością tragiczną i nie może dać szczęścia kochankom

W kilka dni po przedstawieniu spotkałem się z młodymi artystami i długo rozmawialiśmy o ich Szekspirze. Z całą prostotą i bezpośredniością odstawiali „tajemnice” swojej sztuki, które najczęściej sprowadzały się do własnego, intymnego przeżycia sytuacji. Przeciwnie oddane na scenie z olbrzymią, niespotykaną chyba u nas u najmłodszych aktorów, precyzją techniki, swobodą wyboru środków, samodzielną. Ten cały świetnie opanowany „warsztat aktorski” oddany na usługi potocznej niemal prawdy życia, do jakiej zawsze usiłują dotrzeć w sztuce radzieckiej aktorzy, jak mogłem niejednokrotnie widzieć w Kijowie i gdzie indziej, prowadzi do zadziwiających, nadzwyczaj dojrzalszych rezultatów.

Podczas kilkutygodniowej podróży zobaczyłem wiele sztuk i wiele teatrów. Duże i małe, operowe i dramatyczne, muzyczne i estradowe. Nie byłem tylko w żadnym teatrze lalek. Ale jedno z najciekawszych wspomnień łączę właśnie ze sceną lalkową.

Zaproszono nas do leningradzkiego Pałacu Pionierów. Nie bardzo mnie pociągały te „dziecinne” odwieczny — ale trudno. Przeszliśmy kilka sal, wysłuchaliśmy informacji, obejrzelśmy jakieś popisy — i wreszcie znaleźliśmy się w małym teatrzyku kukiełek przeznaczonym chyba tylko dla cudzoziemskich delegacji, bo miejsc było najwyżej pięćdziesiąt, a dzieci w Pałacu mnóstwo. Mali artyści sprawnie pokazali jedną odświeżoną bajeczkę i potem weszliśmy do pracowni, gdzie przygotowywano dekoracje i lalki. Oprowdzając nas, objaśniając, widzimy jakiejś zwierzęcą, które będą występować w następnym przedstawieniu. Jeden z chłopków tłumaczy mechanizm poruszania kukiełek. Pies zaczyna kręcić mordą, typie grzanie ślepiami, w drugim ręku chłopiec trzyma owieczkę. — Haul! haul! — chłopiec dzielnie naśladuje szczekanie i nagle widzimy przed sobą całe niespodziewanie zaaranżowane przedstawienie. Pies szczeka, owca ucieka, pies goni, owca beczy. Trwa to mglenie oka. Mały aktor odkłada „rekwizyty” i spokojnym głosem mówi: „A te kukiełki robimy już do następnego przedstawienia...”

Cudowna sztuka iluzji — wielkie prawo, wielki obowiązek teatru! Jeden Obrazcow, genialny mistrz kukiełek, przestrzega jej pilnie i uprawia z ogromnym powodzeniem. I ten mały Wania czy Pietia, który tak nie wiele wie jesze o teatrze, ale już zna całą jego niezwykłą siłę i potrafi ją wykorzystywać, dał nam odczuć przez chwilę jakąś niesfalszowaną, upajającą prawdę „teatralności”. Tak, przecież od tego zaczął się teatr, od udawania, od świadomego odgrywania. Od konwencji — ale konwencji twórczej, żywej, nie sztywnej, skostniałej i hamującej.

Okazało się, że rozumiemy ją dzisiaj świetnie i potrafimy się wzruszyć. Co więcej pozwala ona odebrać artystyczne wrażenie wśród nerwowego zgietku, w pośpiechu, tak charakterystycznym dla współczesnego życia. W zagranicznej podróży nagle tę sprawę odkrywamy z całą ostrością: stały brak czasu, fragmentaryczność spotkań i rozmów, niewielka i szybko przesuwająca się płaszczyzna zetknięcia z życiem, z człowiekiem.

Króciutki epizod w Pałacu Pionierów czy występ Sergiusza Obrazcowa na specjalnym koncercie w Moskwie — pozwoliły uchwycić i zanotować tę atmosferę, pozwoliły zastanowić się nad zaskakującym aspektem rzeczywistości, co więcej: przepełniły ją bogatym, niezapomnianym wzruszeniem artystycznym.

Zupełnie inny charakter miała każda wieczorna wyprawa do teatru czy do opery. Była jak gdyby zatrzymaniem mijającego czasu, hamowaną wyobraźnię rozpędzoną wśród codziennej bieganiny i nigdy nie syta. Czasem — zwieraliśmy się sobie — gdyby nie te cztery godziny spędzone wieczorem w spokojnej, i nie nerwowej, ustabilizowanej atmosferze teatru — trudno byłoby nocą od razu z pełni uświad — przeskoczyć w sen.

Teatr wpływał uśmierzająco nie tylko dlatego, że nie było tu już pośpiechu, że trwał cztery godziny, że można było w tym czasie oddać się patrzeniu „w głąb” — a nie po powierzchni tylko, byle dalej, byle więcej... Wydaje mi się, że coś uśmierzającego jest w samej sztuce artystów radzieckich, w ich spokojnym opanowaniu, w ich znakomitej technice, która nie dopuszcza najbliższych zgrzytów i wstrząsów, w ich precyzyjnej dokładności, która nie wymaga od widza nagłych skoków wyobraźni.

Myślę, że gdy ów „Wania” z Pałacu Pionierów dorosło — pójdzie do jednego z tych świetnych instytucji teatralnych, gdzie znakomicie pozna rzeczywistość i wszystkie tajemnice „kaligrafii scenicznej”.

(Dokończenie na str. 6)

JERZY PUTRAMENT

Mój profesor

ŚMIERĆ Jerzego Wyszomirskiego uderzyła we mnie ze szczególną zawziętością. Był to człowiek, któremu zawdzięczam więcej niż kiedykolwiek mu powiedziałem. Więcej niż sa n pomyślałem dotąd. Jakże często dopiero czyjaś śmierć staje się jakimś ostatecznym argumentem w naszej ocenie, w naszym stosunku do zmarłego. Bezsensowne i okrutne prawo, które płaskich uzasadnień ma tak dużo, że nie mogę uwierzyć, aby wyjaśniały cokolwiek.

Lat temu trzydzieści jeden z „kawałkiem” byłem w czwartej klasie małego podwileńskiego gimnazjum. Od paru lat poznawałem uroki ówczesnej polonistyki, którą wbiłali nam do głów przeważnie co gorsi galicyjscy belfrowie (co lepsi zostali przecież w swoich Krosnach i Wadowicach). Podziwiałem sam siebie, jak w warunkach przeraźliwego, wielogodzinnego stękania i dukania na temat „Trenów”, „Pana Tadeusza”, „Ksiąg Pielgrzymstwa” chciało mi się jeszcze w rozkosznym czasie pozalekcyjnym sięgać do książek, co więcej, sięgać do zeszytów, w których pracowicie wypisywałem ołówkiem długie poematy na temat wydarzeń, wycieczek nych właśnie w „Historii powszechnej” Cezara Canty.

Otóż na początku tejże czwartej klasy dostaliśmy nowego polonistę. Nie zwróciliśmy oczywiście uwagi na jego młodość — jak na nas był dostatecznie stary, choć miał lat dwadzieścia sześć. Był jednak nowy i od pierwszej lekcji okazało się — był tak inny!

Na jego lekcjach te same narzędzia tortur, te same „Treny” — przybrały nagle ludzkie, to jest zrozumiałe dla czterastoletnich barbarzyńców, kolory. Nie plakaliśmy nad losem nieszczęśliwej Urszuli, oczywiście, ale przestaliśmy się z niej nabijać, przestaliśmy drzeć i grać w szewca. „Iliada” zaś, pobiężnie „przechodzona”, stała się w ogóle pasją klasową.

Nie mogłbym słowa powiedzieć — jak Wyszomirski to osiągnął. Nie mam pojęcia na czym polegały jego metody pedagogiczne. Jedno chyba było pewne: nie był szkolnym biurokratą. Nie roztkliwiał się nad tym, czego sam nie lubił, nie odwaliał, nie odfajkował nieudanych tematów. Zato umiał znaleźć w sobie dość zapалу, gdy rzecz dochodziła do dzieł, które cenił.

Cenił zaś to, co było naprawdę cenne. Dowiedzieliśmy się niebawem, że jest pisarzem, ba! — jest poetą! Znaleźli się oczywiście tacy, którzy „zasypali” mnie wobec niego, wołając na lekcji polskości, że „Putrament też pisze”. Byłem bardzo zły, za plecami wygrażałem „sy-paczom” pięścią. Wyszomirski podszedł do mnie, pogładził po głowie, kazał przynieść próbki tego „pisania”.

Przyniosłem najsłabszy utwór: dramat trzynastogłoskowym w sześciu krótkich) pt. „Śmierć Hektora”. Przechodziliśmy przecież „Iliadę”.

Dzielo to nie miało absolutnie żadnego cienia wartości. Nie świadczyło o jakichkolwiek przyszłych możliwościach.

Świadczyło tylko o jednym: że czterastoletni wyrostek potrafił ileś tam czasu, który z większą przyjemnością można by było obrócić na tłuczenie szyb,



futbol, wędrówki po pięknych okolicznych pagórkach, — ileś tam czasu poświęcić na ponowne przeżywanie dramatu, który przecież „przechodziło się” na lekcjach.

„Przechodziło się na lekcjach”? To przecież znaczy: przechowywało się w pamięci, ale wyrzucało ze swoich dziecinnych uczuć.

Nie wiem czy Wyszomirski dostrzegł swoją osobistą rolę w tym procesie. Nie rozmawiałem z nim o tym nigdy. Wiem o tym dzisiaj dopiero, dzisiaj, gdy myśląc o jego śmierci próbuję ocenić to, co mnie z nim łączyło.

Gdy oddał mi zeszytek, nie powiedział ani słowa — chwalił nie było za co, ganić — nie miało sensu, uczyć było za wcześnie. Czułem tylko, że jest wzruszony. Dopiero dziś rozumiem: wzruszony moim nieudolnym wzruszeniem wobec „Iliady”.

Był u nas niedługo. Ja zresztą niebawem przeniosłem się do innego miasta, do Lidy. Tam dopiero dali mi szkolne naprzędy upieczony doktorowie od polonistyki!

Ich tępotę, ich zimny spokój pozwalało mi przewyciszyć wspomnienie tamtego polonisty. Był to pierwszy pisarz, którego w życiu zobaczyłem. Jakże inny! O ileż lepszy!

Nie potrafię napisać biografii Wyszomirskiego, chociaż później, w latach 35 — 39 spotykałem się z nim w Wilnie, choć podziwiałem jego wielką sztukę zwłaszcza w literackim felietonie, jego wielką prawość osobistą, jego służną i dobrą odwagę polityczną, która sprawiała, że to on jeden ze wszystkich publicystów wileńskich odważył się podjąć publicznej obrony „Poprostu” i Dembińskiego w czasie, gdy reszta gazet rywalizowała ze sobą w wyszukiwaniu „argumentów”, mających nas porządkować.

Chcę tylko to spóźnione wyznaczenie przekazać pamięci o nim.

JERZY PUTRAMENT

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI

Zamiast kwiatów

BYŁO to więcej niż dwadzieścia pięć lat temu. W murach dawnego klasztoru Bazylianów w Wilnie — w tych samych murach, w których carski senator Nowosilow wzięł niegdyś Adama Mickiewicza i jego filomackich i filareckich przyjaciół, trzech młodzieńcy jeszcze podówczas warszawscy poeci — Władysław Sebyła, Aleksander Malszewski i piszący dzisiaj te słowa — z łatwo zrozumiałym wzruszeniem, z biciem serca czytali swoje wiersze gromadnie zebrany tam słuchaczom.

W starej siedzibie wileńskich Bazylianów mieścił się w tym czasie Związek Literatów, przez który zostaliśmy zaproszeni na wieczór autorski.

Wtedy to poznałem Jerzego Wyszomirskiego.

Choć jeszcze dość młody, był znacznie starszy od nas, ale nosił w sobie cechy, które mnie — zupełnego wówczas szczeniaka — zbliżyły do niego niemal od pierwszych zamienionych słów. Mimo maski opanowania, nawet pozornego chłodu, kipiał wewnętrznym żarem. Łatwo można było dostrzec, że jest pełen hamowanych pasji, że nie co ludzkie nie jest i nie może mu być obojętne — szczególnie zaś wszystko, co dotyczy spraw literatury, poezji, sztuki.

Podczas obiadu wdaliśmy się z nim w rozmowę o poezji Tuwima. Wyszomirski był gorącym entuzjastą autora „Słów we krwi”. Ja, dwudziestolatek, któremu się zdawało, że kilkana buńczucznych utworami można rozwiązać wszystkie trudne i skomplikowane problemy socjalistycznej przebudowy życia, nie krepowałem się w demonstrowaniu swoich pretensji do własnego mistrza i późniejszego przyjaciela. Trochę dla garści dobrych racji, więcej przez szczeniacką przekorę, wiodłem sprzeczkę z Wyszomirskim.

Poznał się na tym. Zimny błysk oczu spoza szkieł — i poznałem, że mam z nim lada polemistą do czynienia. Kilkomna zdaniami uprzytomnił mi grzeczność, że buńczuczna pewność siebie — to nie argument, a Tuwim — to jednak Tuwim.

Przy tej okazji zorientowałem się, że mam przed sobą nie byle jakiego erudyty, piekielnie ocytanego, który igra sobie z nieopierzonym zapaleciem, jak kot z myszką. I co ważniejsze: że ma dobry gust, z którym trudno się nie zgodzić...

Często przyjeżdżając potem do Wilna, zaprzyjaźniłem się z Jerzym, serdecznie go polubiłem.

Polubiłem go za jego wyniosłą niezależność myślenia, która w trudnych latach międzywojennych nie pozwoliła mu, mimo pułapek, jakie czyhały dookoła na zaharowanego dziennikarza, zdradzić swoich postępowych ideałów, za jego umiłowanie wszystkiego, co młode i co piękne.

W decydującym momencie Wyszomirski, któremu trudne warunki w sanacyjnej Polsce kazały być wyrobnikiem dziennikarskim, stanął z nami w obozie antyfaszystowskim.

Będziemy pamiętać jego publicystyczne wypowiedzi w lwowskich „Sygnalach”.

Kiedys, w latach młodzieńczych, sam również pisywał wiersze, kusił się być powieściopisarzem. Wyotrzonny krytycyzm wskazał mu, że nie jest to właściwa droga jego pisarstwa. Zawsze byłem pełen szacunku dla sposobu, w jaki się rozstał z młodzieńczymi złudzeniami — nie pozostał w nim żaden osad gorzkości, pospolicie towarzyszący tego rodzaju bolesnym decyzjom.

Pozostał przez całe życie wielkim entuzjastą prawdziwego piękna w poezji, nosił w sercu szczerą podziw dla każdego talentu, oddał mu zawsze należny hold piórem doskonałego felietonisty.

Wyposażony w wielką kulturę literacką, zadziwiająco erudycję, z nich właśnie uczynił sprawne narzędzie swojego pisarstwa. Był pożytecznym publicystą literackim. Stwierdzenie w dniu dzisiejszym tego faktu wydaje mi się być najwyższym aktem sprawiedliwości wobec przedwczesnie zmarłego pisarza.

Lata wojny spędził Jerzy w Warszawie. Przybył do okupowanej przez hitlerowców stolicy piechotą, z żoną u boku — i maleńkim dzieckiem na ręku — bez grosza, bez możliwości zarobkowania. Tu razem z nami cierpiał nędzę i głód. Tu razem burzyliśmy się przeciw przemocy.

Sam, bez środków do życia, gdzie tylko mógł służył innym przyjacielską pomocą.

Gorący patriota, nie pozostawał bezczynny. Gdziekolwiek nadarzyła się po temu sposobność, korzystał z niej by swoim piórem podejmować walkę z faszystowskim najazdem. Pisywał do nielegalnej prasy.

Nie należał do tchórzów, którym troška o własny „os i los rodziny wypełniała mroczne dni i lata klęski.

Chciał walczyć i wierzył w to, że ta walka przyniesie w końcu zwycięstwo słusznej sprawie.

W ponure, okupacyjne wieczory nie raz marzyliśmy, gawędząc z sobą u blednego stołu, o latach, które przyjdą — latach triumfu piękna, prawdy i wolności.

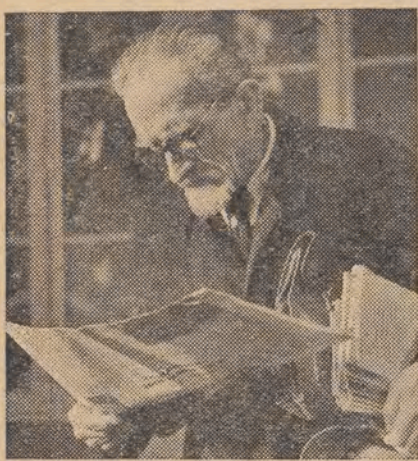
Jakże mi ciężko dzisiaj, gdy przed naszymi oczyma odsłaniają się nowe czasy, coraz to wspanialsze perspektywy, żegnać na zawsze przyjaciela, który mi był wierny w latach okrutnej niedoli, w groźnych latach śmiertelnej walki.

Jest rok Mickiewiczowski. Pamięć przywodzi obraz wieczoru poetyckiego w murach, wśród których żyje duch twórcy „Dziadów” i „Konrada Wallenroda”. I na zawsze z tamtym głębokim wzruszeniem związaną postać Jerzego Wyszomirskiego.

Niech mi wolno będzie to wspomnienie złożyć na trumnie drogiego przyjaciela — zamiast kwiatów.

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI KRONIKA NR 6

Trudny egzamin dojrzałości



Państwowy Teatr Nowy. Zdżisław Skowroński „Maturzysty”. Reż. Kazimierz Dejmek, scenogr. Iwona Zaborowska. Na zdjęciu: Józef Pilarski w roli prof. Orlińskiego

Na pierwsze wejście „Maturzysty” Skowrońskiego wydają się sztuką osnutą na zagadnieniu: dom — szkoła — zagadnieniu niewątpliwie bardzo ważnym, bardzo jeszcze żywotnym, bo tkwiącym korzeniami w samym gąszczu toczącej się w naszym kraju walki klasowej. Zresztą, wyznaje to sam Skowroński w swej wypowiedzi autorskiej: ów problem dom — szkoła — był głównym zawieszkiem jego koncepcji ideowej i, co za tym idzie, dramaturgicznej.

Powie to nam każdy nauczyciel, każdy wychowawca, każdy działacz ZMP: konflikt dom — szkoła (mówiąc słowami Skowrońskiego — rozdźwięk między „atmosferą reakcyjnego środowiska a ideologią socjalistycznej szkoły”) daje się dotkliwie we znaki w codziennej praktyce wychowawczej, mocno bruździ zwłaszcza tam, gdzie w grę wchodzi dom mieszczański lub drobnomieszczański. A domów takich jest jeszcze w Polsce bardzo dużo. Opozycja względem socjalistycznej szkoły ma tu oczywiście podłoże polityczne; czasem (co raz rzadziej) polityka objawia się w całej swej brutalnej nagości, o wiele częściej jednak przybiera ona różnorodną, bardziej subtelne formy — od parafrazy fideizmu, poprzez szczeniactwo kółtuński, „bogoojczyźniany” nacjonalizm, do podwójnej moralności swojskie pojmowanego neo-pozytywizmu. Ta ostatnia odmiana, występująca najczęściej w sferach inteligentno-mieszczańskich, inspirowała moim zdaniem, najbardziej perfidną, bo najbardziej oportunistyczną taktykę zimnej wojny klasowej.

W dużej mierze takim „neo-pozytywistą” jest w „Maturzystach” Wójcik, przewodniczący komitetu rodzicielskiego w liceum, które właśnie kończy jego syn, aktywista ZMP. Notoryczny wróg? Na pozór, nie. Wójcik jest lojalnym obywatelem, prawdopodobnie uczciwie pełniącym swe obowiązki zawodowe, co więcej — brylującym na zewnątrz pewnymi cnotami społecznymi, szermującym na zebraniach komitetu frazesem postępowym i demokratycznym. Ale znamienne jest to, że syna swego pcha na drogę kariery lekarskiej, bo przecież medycyna jest tą dziedziną, gdzie najłatwiej, z całkowitym spokojem sumienia, można być gorliwym i nawet ofiarnym pracownikiem — lekceważąc równocześnie ideowe zasady naszego ustroju. Medycyna jest przystanną neo-pozytywistów, domeną „pracy organicznej” w nowym wydaniu. I dlatego też, aby ułatwić Leszkowi dostanie się na medycynę, Wójcik rozkazał mu na dwa lata przed maturą wstąpić do szkolnej organizacji ZMP. Karieryzm jest normą moralności burżuazyjnej; podobnie za sanacji mieszczański synowie zaciągali się do „Legionu Młodych” i „Straży Przedniej”. Wójcik posunął się nawet tak daleko, że będzie bronił zachwianej pozycji syna w ZMP wszelkimi dostępnymi mu środkami — klamaniem, tudzież szkalując chłopca, który walczy właśnie o czystość ideowej postawy zetempowca. I Wójcik odniósłby zwycięstwo nad socjalistyczną szkołą, gdyby mu się udało podziurzyć naszemu społeczeństwu jeszcze jednego „technicystę”, skrzyżowanie sprawności zawodowej z ideologiczną pustką. Zwycięstwo tym pewniejsze, że, jak wiemy, nie ma ideologicznej pustki.

Widzimy więc, że Skowroński wybrał najtrudniejszy aspekt konfliktu dom — szkoła, aspekt najbardziej brzemienisty w treści i przedłużenia moralne. I dlatego też, wzięty jako punkt wyjścia, konflikt ten sam przez się schodzi na plan dalszy, Wójcik od razu (i może za wcześnie) rozszyfrowany staje się figurą epizodyczną. Punkt ciężkości sztuki przesuwają się wewnątrz młodej świadomości — i to jest największą zasługą autora, który dał nam pod postacią „Maturzystów” dramat bardzo współczesny, dramat młodych sumień. Nie podzielał zdania tych recenzentów, którzy twierdzą, że w „Maturzystach” nie widać młodości. Młodość jest i żyje w tej sztuce, i to młodość nie taka, jaka powinna być, lecz taka, jaka już istnieje, jaką dostrzegamy wokół siebie. Dwójdyny bohater „Maturzystów”, para Ka-

zek i Leszek, reprezentuje dwa stadia tego samego procesu dojrzewania, stadia jakże typowe dla rozwoju najlepszego odłamu młodzieży. Tej, której droga do socjalizmu jest najtrudniejsza, musi bowiem zdzierać z siebie strupy mieszczaństwa, a czyniąc to w pełni świadomości, w bolesnych niekiedy zmaganiach ze sobą i z otoczeniem, naraża się sekciarzom i frazesowiczom typu prof. Paluszkiwicz — dla których młodość to jest tylko niesfora, rozrabiacka, „trudna do prowadzenia”. Leszek wstąpiwszy do ZMP bez przekonania, jedynie dla kariery, rozsmakowuje się w ideowej atmosferze organizacji, staje się aktywistą i w naszych oczach odrzuca mieszczańską kalkulację ojca jak zetłazy łach. Dochodzi do tego po długich błądzeniach, kiedy to wzorem Paluszkiwicza chciał komenderować, terrorizować dogmatycznym frazesem, dławić zmysł krytyczny kolegów — inaczej mówiąc przezszyć na grunt ZMP drobnomieszczańskie narowy. Bo przecież komendowanie, pokrzykiwanie, dyktatorskie zamaski i temu podobne wypaczenia — to są kukulące jaja mieszczaństwa! Nikt, zdaje się, nie spostrzegł dotąd, że najlepszymi sojusznikami neo-pozytywistów byli obiektywnie Paluszkiwicz, których lewacka apodyktyczność, szampowa frazeologia i kaprałskie maniery potrafiły obrzydzić najlepszym pryncypia naszego ustroju.

Młodość może nie wiedzieć jeszcze czego chce, ale na pewno wie czego nie chce. Nie chce hipokryzji i podwójnej moralności mieszczańskiego domu; nie chce krzykactwa, dogmatyzmu, tępienia świadomości na rzecz przerosłów organizacyjnych; nie chce myśleć inaczej i mówić inaczej. Jan Kott sugeruje nam, że Leszek, wyrósłszy wprawdzie z obłudy domowej, wszedł może w inną. Jaką? Mamy się domyślić: zetempowska. Otóż obłuda, jeśli zagnieżdżyła się w ZMP i w organizacjach partyjnych, była i jest pochodzeniem mieszczańskiego, zawleczona przez Paluszkiwiczów, oportunistów, nadgorliwców, „technicystów” itp. I wyświecić ją potrafią młodzi typu Kazka i Leszka, nauczyciele typu Domańskiego i Orlińskiego, choć ten nie należy do partii.

Skowroński nie tylko dotknął tych zagadnień, ale także wcielił je w materię dramatyczną. Uczynił to może niedoskonale, miejscami nieporadnie. Po znakomitym akcie pierwszym, po bardzo jeszcze interesującym akcie drugim, autor jak gdyby zląkł się czy też nie umiał zachować wieloznaczności motywów ludzkiego postępowania. W akcie trzecim jeden tylko Leszek zdołał utrzymać się w tej zasadzie, mianowicie wtedy gdy złośliwym kłamstwem ratuje honor lichego ojca, twierdząc, że to właśnie ojciec namówił go do wyznania całej prawdy i naprawienia błędów. Poza tym cały akt trzeci staje się schematycznie płytki. Konflikt „rozchodzi się” w szumnych ideologicznych tyradach i spowiedziach. Na wszystkich spływa socjalistyczna łaska, Wójcik, w rozmowie z dyrektorem, nieomal wychyla się politycznie i tym samym wychyla się poza swoją sylwetkę psychologiczną, bo przecież Wójcikowie, jakkolwiek naiwni w swej obłudzie, wystrzegają się jak ognia podejrzenia, iż powoduje nimi wrogość klasowa. Kłębmy Kazek, spiritus movens intrygi dramatycznej, staje się łagodny jak baranek. Słowem — happy end. Skowroński w akcie trzecim przepędza ze sceny wszystkie narosłe dotąd znaki zapytania, zastępując je patetycznymi wykrzyknikami. Miała być katharsis — a jest tylko gremialne „kochajmy się”.

Niemniej jednak chciałbym stwierdzić, że utwór Skowrońskiego jest jedną z najlepszych polskich sztuk współczesnych; że objawia nieprzeciętny pazur dramaturgiczny, przy tym swoisty „pazur w aksamiocie”; że wyraża z nowego świata idei, pojęć i konfliktów; że celuje w sztuce lekkiego i dosadnego szkicowania postaci; że, wyjawywszy partię „tyradową”, jest napisany doskonałą mową sceniczną; że jest nasycony kulturalnym humorem, w porę rozładującym sytuację zagrożoną nudną powagą; że wreszcie nie pozostawia wątpliwości co do wewnętrznej ideowej temperatury pisarza.

Nie wydaje mi się, aby postacie maturzystów były narysowane słabiej, niż postacie nauczycieli. Może to zasługa reżysera Dejmka, jego szczęśliwej ręki w sztuce obsadzania ról. Nie czytałem tekstu „Maturzystów”, dostrzegłem jednak w widowisku rzecz naturalną: to, że w obu obozach są role lepiej i gorzej napisane, role oryginalne i role cytatywne. I tak po stronie uczniów cytatywne są postacie intelektualisty i bikińiarza, chociaż Dobrosław Mater o wiele lepiej broni pierwszego niż Jerzy Kozakiewicz — drugiego. Sądzę również, że Helena Sobolewska mogłaby lepiej wybrnąć swą zetempówkę. Za to para główna, Leszek i Kazek, ma dzielnych odtwórców w osobach Michała Pawlickiego i Bogdana Baera. Obaj rosną i męnieją nam w oczach — aż do aktu trzeciego, którego majorowych tonów Dejmek nie tylko nie przyciszył, ale jakby jeszcze wzmoził.

Po stronie dorosłych cytatywne są postacie mamy Wójcikowej i zdziwaczkiej w staropanieństwie nauczycielki

Wozniakówny. Ale w doświadczonych rękach Janiny Jabłonowskiej i Wandy Jakubińskiej pierwsza blyszczą cnotą maksymalnej dyskrecji, druga nigdy nie popada w szarżę. Jakkolwiek ubogi byłby tekst profesora Paluszkiwicza, to przecież Tadeusz Minc nie uczynił nic, aby go wzbogacić, przeciwnie — zaciął się w sobie, wyrzuca urywane zdania i patrzy spode łba. Jeśli nawet rola ta ma jedną tylko strunę, to Minc stanowczo ją przeciąga. Za to świetny jest Józef Pilarski w roli starego prof. Orlińskiego, przyjaciela młodzieży, pełnego humanistycznej mądrości i wyrozumienia. Bardzo rzeczywisty jest dyrektor liceum w nacechowanej szlachetnym umiarem interpretacji Seweryna Butryma. Stefan Drewicz nie tylko dobrze obsługuje humor autorski zawarty w replikach prof. Bujaka, ale tworzy bardzo wypukłą postać wredy i antyschematysty. Z niejasnej biografii Wójcika wykreślił Marian Nowicki „mocny w kolorze” okaz drobnomieszczańskiego średniaka o elastycznym sumieniu i konfekcyjnej inteligencji. Wreszcie pierwsza rola Celiny Kubiówny w Teatrze Nowym wypadła więcej niż poprawnie: prof. Domańska w jej ujęciu jest prosta, rozumna i powściągliwie serdeczna.

Reżyseria „Maturzystów” sprowadza się do wydobywania intelektualnych walorów sztuki. Celowi temu służy rytm przedstawienia, logika rozwoju sytuacji oraz rozstawienie i wyakcentowanie ról — trzy elementy, które Dejmek zestroił tak, że tekst dochodzi do widza w całej pełni i czystości, nie tracąc nic z odcieni, sugestywności aluzji i ostrości sztychów. Tak dzieje się w pierwszych dwóch aktach. W trzecim tempo staje się mechaniczne, sytuacje i ugrupowania postaci zbaczają w jakiś panoramiczny szablon. Dekoracje spełniają konieczną w takich sztukach funkcję — zespołu użytecznych rekwizytów.

Nade wszystko jednak wymowna jest reakcja widowni, która śledzi „Maturzystów” z takim zainteresowaniem, jak gdyby chodziło o jej własne, powszednie, a przecież ogromnie ważne sprawy.

Mury Radogoszcza

NOCA

Co dzień, Doroto, tuż przed zmrokiem
Nagła posoka w słońce bryzną
Czerwonoskóre i bezokie
Mury pokryte zgorzelizną.

Wóz uchodzący przed nocą
Zatrzępocę wzdłuż piachu,
Druty trakcji dygocą
Muśnięte cieniem ptaków.

W dali sen z powiek spływa,
Grzmot trąb słyzy morderca,
Na straszny sąd pozywa
Cisza tego miejsca.

PORANEK

Czy to iskra tam pelga,
Czy latarka?
Jedzie tramwaj od Zgierza,
Ledwie czwartą.
Mgła na rowach jak mleko
Bieleje.
Na targ jadą do Zgierza
Kołodzieje.
Tramwaj z furą się zetknął
Nad drogą
Do puszkowia z fabryką:
„Radogoszcz”
Tu wysiadła babinka
I młodzi.
Zsiedli z furmanki
Wąsaty kołodziej.
Przystanęli, na mur
Spoglądali,
Nic nie mówiąc, wargami
Rusali.
Postrząsali zechle liście
Z mogił
I odeszli — każde
w swoje drogi.

DO LEGENDY

Wiatr zna rysopis zgłiszcz, nim przedmiją,
Darii wnikię w ciszę wzgórków pod płotem.
Gdy grób odumrze pamiętnych imion,
Głaz inkrustuje legenda złotem.
Tu w dymie ognia zamknął imiona,
Lecz mur rozwił otężył ostrzeżenie słońce.
Toteż rzeźbiarko nieprześcigniona,
Odrzuć narzędzie pozłacające.

EDWARD SZUSTER

NAD PILICĄ



NAD łakami, za rzeką snują się opary. Są gęste, intensywnie białe — widać je w zmroku wieczornym wyraźnie. Ostro odcina się od kłębiastych mgieł czarna gęstwa lasu, który szarżując stopniowo ciągnie się aż do horyzontu. I las i niebo mają tam jednaką barwę cienia; granica między nimi jest niewidoczna. Gdzieś tam, gdzie za dnia rysowałyby się widnokrąg, cnił parę dalekich światła — to światła Sulejowa.

Mętna, zachlapana centkami plany Pilica, uderza w wysoki brzeg i bulgocze monotonna w gwałtach paru podmytych drzew i krzewów. W oparach rechoczą żaby — wielki chór żab. Wyda się, że cała rozległa płaszczyzna łąk zaludniona jest zwartym tłumem żab. Miałyby się one z pyszną gdyby bocian widział w ciemności — jak sowa.

Mrok. Ani jednego dźwięku świadczącego o tym, że gdzieś w pobliżu żyją ludzie. Naokoło las ciągnący się kilometry na wschód, północ i zachód. Wiem, co prawda, że o dwanaście kilometrów stąd jest Piotrków z jego hutami, kombinatem i powstającą fabryką konstrukcji stalowych; wiem, że ta sama, mniej — więcej, przestrzeń dzieli mnie od grupy studzien zasłajających rurociąg Pilica — Łódź. Trzeba jednak pomyśleć, aby przypomnieć sobie te sąsiedztwa; cisza i mrok sprawiają, iż wydaje mi się, że jestem w kacie odgrodzonym od świata i ludzi przestrzenią i kiepskimi drogami. O istnieniu elektryczności przypominają tu tylko sulejowskie światła, ale do nich bardzo daleko.

Przed zachodem słońca ruszał w drogę powrotną samochód, który mnie dowoził tutaj. Szofer był zdegrustowany, pośpiesznie lokował się w sfoferce po krótkim spacerze na wieś.

— Jak oni tu żyją? — wzruszył z niezadowolonym ramionami. — Panie, wieś wcale nie mała a sklepu żadnego. — Skinał mi głowę, nacisnął rozrusznik i odjechał.

Prawda. Wieś nie mała, a sklepu w niej nie ma. Nie ma też i szkoły. Po sół i po wiedzę wędrują stąd gospodynie i dzieci do sąsiedniej wsi odległej o trzy kilometry. Słowem — kąt zapomniany — jak mówią — od boga i ludzi. Cisza, spokój. Tylko żaby na łące skrzeczą coraz głośnie. Daleko, tam, gdzie jest sklep i szkoła, szczerka leniwie pies. Patrzę na ciemne lustro płynące w dół rzeki i staram się myśleć o tym, gdzie trzeba mi będzie pojechać, by usłyszeć wyraźnie tętno sześciolatki.

Słyszę kroki zbliżającego się człowieka i za chwilę Władysław N. siada przy mnie. Poznaję go po sylwetce; twarz nawet dojrzeć nie sposób, bo ciemna szczerzina tygodniowego zarostu nie pozwala odróżnić jej ani od czapki ani od drellichowej bluzy. Dopiero jutro, w niedzielę, N. ogoli się i wówczas okaże się, że nie jest wcale taki stary.

— Panie — powiada do mnie — jest słońce. Teraz, panie, zapalmy i pójdziemy.

A więc palimy, a potem idziemy na wieś. Po drodze N. opowiada mi co słychać u Stanisława K., bogatego gospodarza mieszkającego opodal.

— Znowu, panie, kolonie u niego będą. Niedawno siedem tysięcy wziął za te kolonie, żeby wszyscy było jak należy. Tyła pieniądze, panie! Wziął te tysiące do kieszeni i poszedł — przez pięć dni go nie było. Pił, panie. Przepił dwa tysiące czterysta i jeszcze za sześćset pięćdziesiąt kupił, panie, buty. Eleganckie buty, od święta. I na co dzień w nich, panie, do roboty chodzi. Taki to człowiek.

Słyszę wyraźnie nutę oburzenia w głosie N., rozumiem dobrze poszczególne słowa i całe zdania, ale nie słucham go uważnie. Po raz nie wiem już który próbuję zrozumieć czemu to N., majster do wszystkiego, sprytny i przedsiębiorczy ślusarz i kowal, pędzi tu żywot mizernego komornika wynajmowanego za psi grosz przez gospodarzy. Wiem, że gdybym zapytał go o to wprost, usłyszałbym to samo co zawsze: „Ja tam, panie, do fabryki nie pójde. Nerwy mam takie, że jakby mi kto o powiedział — to nie daj boże. Teraz, panie, nie ma w fabrykach prawdziwych fachowców”.

Na wsi mówią, że N. jest „pomylony”. Śmieją się z niego za plecami. Wiem jednak, że to właśnie Stanisław K. i jego kompani podtrzymują w tym dziwaku obawę przed robotą w mieście, straszą

rygorami dyscypliny pracy, mamia wdziękami wolności, jaką cieszy się człowiek mieszkający na wsi. Nic dziwnego — bardzo wygodnie mieć pod ręką majstra, który ślusarkę i kowalstwo zna i do każdej roboty stanie za obietnicę zapłaty. Obiecanki — jak wiadomo — mało kosztują i człowiek sprytny wywinie się z nich bez większego trudu.

Idziemy środkiem wiejskiej drogi. Powietrze przesyczone jest wonią akacjowego kwiecica, które bieli się w mrocznych kępach koron. N. zrywa liść akacji i oskubuje z niego blaszkę po blaszce namawiając mnie jednocześnie, abym mu „skompinował akumulator na dwanaście”.

— Zrobicie, panie, głośnik taki, że na całą wieś będzie grało.

Wierzę, że zrobiłby taki głośnik, ale wzruszam ramionami. Jest to odruch irytacji, bo wydaje mi się rzeczą szczególnie głupią, że taki lepski majster jak N. kisi się na tej wsi. Widocznie parę kilometrów kłopotliwej drogi to przeszkoda nie lada dla tego wszystkiego, czym żyje nasz kraj. Sześciolatka nie zaprzęka tu jeszcze, nie poruszyła żywiej ludzi, nie odmieniła ich życia. Przycinam tłumaczyć N., że jego lek przed pracą choćby w Piotrkowskim POM-ie jest bez sensu. Jak zwykle, potaktuje moim sądom; wiem jednak, że wkrótce złoży swe sakramentalne



J. L. PEREC

Niedawno minęło 40 lat od śmierci znakomitego klasyka literatury żydowskiej, J. L. Pereca. Urodzony w Zamościu w 1929 r., do końca życia przebywał w Warszawie, gdzie stworzył szereg arcydzieł w dziedzinach: poezji, prozy i dramaturgii (m.in. poemat „Mniszka”, „Opowiadania ludowe”, „Ski-ce”, utwory sceniczne: „Pod pręgierzem”, „Nocą na starym rynku”, „Złoty tańczuch”, „Gore”). Zasiadł również jako publicysta i postępowy działacz społeczny.

Nie myśl...

Nie myśl, że świat ten jest karczmą — stworzoną dla pięci drapieżnych, co prą do szynkwasu, by gardziel żarłoków nasycić — gdy inni patrzą z daleka szklistymi oczyma zgłodniałymi, i ślinę lękają, a w garści ściskają kurczami szarpany żołądek...
O nie myśl, że świat ten jest karczmą!

Nie myśl, że świat ten jest giełdą — gdzie silny ma prawo kupić słabego niemocą, wstydlivość u dziewcząt nabywać niewinnych, u kobiet mleko matczyne — u mężczyzn szpik kości i mózół, u dzieci zaś uśmiech, tak rzadko na licach goszczący woskowych...
O nie myśl, że świat ten jest giełdą!

Nie myśl, że świat jest bezpański — stworzony dla wilczej grabieży i lisich forteli; niebo — zasłona, by skryć się przed Bogiem; mgła — by nią ręce spowiadać nieczyste; wichur — by głuszyć okrzyki bólesci; ziemia — by ofiar przesiąknąć posoką...
Nie myśl, że świat jest bezpański — o nie myśl, że nie ma sądziego ni sądu!

Przełożył: HORACY SAFRIN

STANISŁAW KASZYŃSKI

Nad wierszami Mariana Piechala

WYDANY w ub. roku tom poezji „Nowa wiosna” nie przynosi poetyckiego plonu z bliżej określonego etapu twórczości.

Pomijając wydzielone w ostatnią część książki przekłady z P. Eluarda, odnajdujemy tu utwory przedwojenne, jak „Miara ostateczna” (z „Srebrnej wagi”) czy „Paryż” (1939) oraz pisane w okresie okupacji, jak np. „Cień z brązu”, powstały pod wrażeniem zburzenia pomnika Mickiewicza w Krakowie. Są to więc poniekąd wiersze zebrane, z ilościową przewagą poezji z lat ostatnich, która też kształtuje tematyczne oblicze tomu. Z tych względów może on niejako stanowić ułankowy przegląd po wojennego dorobku poety, reprezentowany w najtypowszych i cenniejszych płodach piechalowskiej muzy. Poeta siłą tradycyjnego przyzwyczajenia napisał i włożył w swój zbiór kilka tzw. manifestów czy programów ideowo-artystycznych, które mają i ten praktyczny walor, że mogą niekiedy ułatwić życie krytykowi, tzn. pomóc w analizie.

Spróbujmy uszczknąć coś z tego „drzewa wiadomości”, stosując zwykłą w takich wypadkach metodę konfrontacji zapowiedzi z realizacją. Tytuł „Nowa wiosna” zapożyczony od wstępnego wiersza jest wymowny i obciążający; warto więc stąd zacząć:

„Stare wiosny wszystkie były fałszywe
I lata, i jesienie, i zimy.
Za wiarę w ich prawdziwość ognie żywe
spaliły nos. Popioł krwii dymil.
Teraz nowych krajobrazów pełne oczy...”

Mamy tu, tak charakterystyczną dla wielu naszych poetów starszego pokolenia konstatację fiaska ich ideowych przekonań i niedowzmaczne sympatie wobec nowej rzeczywistości, a zarazem przekonanie, że z garstki popiołów (ulubione przez Piechałę norwidowskie

określenie) rodzi się nowe życie ukazane pod przejrzywą metaforą wiosny.

Taka jest introdukcja napisana w roku 1948, która chociaż kończy się symbolicznym akcentem („I nową wiosnę, już prawdziwą nieśię gołąb z promieniem słońca w dziobie”) nie sugeruje nam wcale konkretnej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się po wojnie. Ponadczasowość, tak znamienita dla poezji Piechala, jest tutaj zupełnie wyraźna. Weźmy inny, bardziej sprecyzowany dowód poetycki, określający miejsce pisarza w nowej wiosnie. Oto program poetyckiego działania, który chyba dobitnie definiuje rolę twórczości i postawę pisarza:

„Ty nie wyprzedzaj swojej epoki,
jak szybko biegasz kurawę,
lecz gani w słowa jej sens głęboki,
wstawaj w jej sprawie.”

Epicki dystans, spokojne, skrupulatne odmierzanie prawd o człowieku i świecie, sprowadzenie poezji do funkcji wiernego protokulanta epoki („Według najprostszego odmierzaj regułę człowieka i wszystko wokół, poezja bowiem to nic innego — tylko protokół, tylko zmieniona dla ucha w powab słów światłonośnych muzyka, co treść epoki w sobie jak owad w bursztynie zamiera”) — oto normy, regulujące poetyckie widzenie. — Gdyby spytać, czy te zasady oglądu rzeczywistości dostrzega się w konkretnej praktyce, odpowiedź brzmiałaby: tak i nie. Bo też Piechał wcale nie stroni od problematyki dnia. Dzieje się akurat odwrotnie.

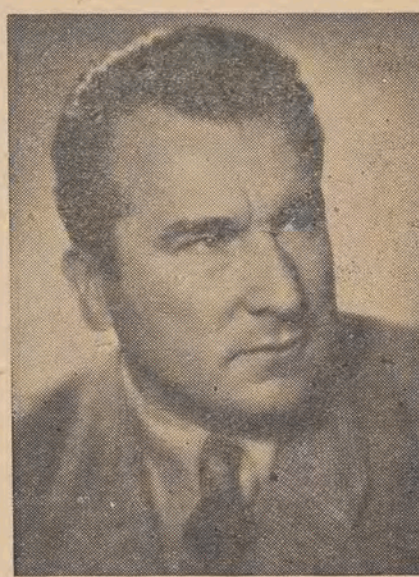
W wierszach politycznych, do których lgnie nawet określenie rymowanej, patetycznej publicystyki, odnajdziemy prawie natychmiastowy oddźwięk na wszystkie najważniejsze wydarzenia (sprawa koreańska; morderstwo Rosenbergów; zjednoczenie II Zjazd Partii; nowe Chiny; granica na Odrze i Nysie; budowa Pałacu Nauki i Kultury). Że pęgał poezji Piechala na pierwszą linię walki, że porusza on ważne społeczne zagadnienia, które koncentrują się wokół sprawy pokoju — to świadczą najlepiej o jego intencjach. Jednakże w tej interwencji poetyckiej podejrzewam jakąś uporczywą pasję do wszystkoizmu, co uwiadcza się właśnie w wartości tych wierszy, w ich frazeologicznym wielosłowności, w buńczuczności, w niewymownym potężaniu hasłami i nużąc, wysrubowanej koturnowości, która od dawna cechuje temperament poetycki Piechala (por. Rzecz pierwszomajowa; O sztuce rymotwórczej; Na miarę historii i in.).

Już przed laty zauważył T. Czappczyński, że Piechał najchętniej sięga po wydarzenia niezwykłe i niecodzienne, wymownym w tej mierze przykładem byłaby niedługo „Garść popiołu”. Nikt nie zamierza, bo i nie może zakreślać granic doświadczenia i przeżyć, z których — żeby użyć lokalno-lódzkiego porównania — tka się przedzę fabuły i refleksji. Ale wolno żądać od tak utalentowanego i doświadczonego poety, by głębiej sondował, znał i odtwarzał życie. Słowem, są to rzeczy emocjonalnie nieprzetrawione, niedostatecznie przeżyte, więc zewnętrzne, wprost strzępywane z pióra na rozkaz doraźnego zamówienia.

Tok wieloznaczności zdania, typ patetycznej metafory, zespół słów i wyrażen uroczyści i podniosłości, zagęszczenie tak charakterystyczne dla felietonistyki politycznej m.in. Erenburga przeciwstawia w układzie anaforycznym („Malaż z Sumatry nie chce wojny, ni cichy Mulaż z wyspy Kuby, ni parias z Indii, Kopt z Egiptu... wojny chce bankier z London-City, Watykan, co się w złoto stroi, Grynder z Mosulu, makler Truman...”) — oto główne sposoby obrazowania.

Uderza nas w czasie lektury to, że tuż obok Piechala, autora wierszy politycznych, przemieszcza Piechał — czysty liryk, nieoczekiwany daleki od pierwszego, kontemplujący w zgola innym świecie, gdzie rządzi prawa harmonii, kształtów, dźwięków i barw, gdzie „hiacynty, wonią muzykujące” i zmysłowe życie korzeni i soków, zasnają zupełnie tamte sprawy. Tutaj poeta prowadzi nas w abstrakcyjne krainy, jakby powiedział Norwid — „niedociecznego wątku”. Tego nastroju nie mać żadna aluzja, do tych miejsc nie przedostaje się nawet echo czy odbłysek aktualnej historii. Stąd pejzaż wiersza jest mglisty i nieczytelny.

Dokładnym komentarzem do cyklu liryki osobistej (część trzecia zbioru) może być wiersz „Miara ostateczna”.



Oto główne kryterium wartości ludzkiej, wyłuszczone w ostatniej strofice:

„Polknie wiecznie głodna mogiła
ciała powab, urodę, krwi war,
jeśli życie nasze, o Miła,
nie wytrzyma melodyjnych miar”.

To prawda, że wiersz ten powstał kilkanaście lat temu, ale nie jest on tu anachronizmem i nie czuje się obco wśród takich liryków jak „Hiacynty”, „Inspiracja” czy „Prawda”. Ten krajobraz spraw wieczystych i w pełni abstrakcyjnych to nautubiejszy dla Piechala teren refleksji i zamyślenia, na którym rozwija swój rzeczywisty kunszt. Nie ma tu, jak w tamtych wierszach, wskazywanego dysonansu, panuje tu ład nienaganny i oddycha się atmosferą pesymistycznej dyskusji nad wieczną zagadką bytu. Piechał, za swym mistrzem Tuwimem, widzi świat w całej intensywności istnienia; rozpatruje go najchętniej w jego fizjologicznych czynnościach i anatomicznej strukturze, zachłystuje się jego witalną siłą, prężnością i soczystością. Widać to w rodzaju ornamentyki metaforycznej, w doborze porównań i określeń (np. Wisła i Odra „jak dwie aorty z labiryntem żyłek zasilają swą treścią wielkie wodne płuca”, (Dorzecze Odry i Wisły), czy: myśli Lenina... „zatapiały się w kark naszej ery”), choć w porównaniu z dosadnością naturalistyczną np. przedwojennych „Elegii całopalnych” („...ogień grzuli, w płucach gotuje się flegma...” (Pożegnanie Norwida); „...w oplocie prężnych ramion szły jedyny konar...”; „...w najśrodkowej dwugłębzi rozchylonych kolan” — (Zeromski) nie razi już one brutalnością.

Można by wyodrębnić jeszcze jeden cykl, gdzie poeta podejmuje tak dziś aktualną próbę przewartościowania naszych tradycji, krytykując w epikim, na wzór romantycznych poematów trzynastozławkowcu, fałszywą interpretację wielkiego malarstwa Matejki („Matejko”). Niedalekiej przeszłości dotyczy „Epilog wrzesniowy” (we fragmentach), którego dramatyczne koleje ukazuje Piechał w kilku prostych sugestywnych ujęciach, łatwo przypominających tragiczne dni wrzesnia. — Jest to niewątpliwie bardzo wartościowy cykl wierszy.

Piechał należy do poetów, którzy chętnie i to pełnymi garściami czerpią z literackich i ludowych tradycji; z dużym powodzeniem wykorzystuje poeta artystyczne zdobycze poezji romantycznej (m.in. szeroko rozbudowana fraza, epicki format wiersza itd.). Piechał nie usiłuje przetwarzać czy modelować tych zapożyczeń, niekiedy cytując je prawie w dosłownej postaci. M. m. bardzo udaną jest parafraza hymnu J. Kochanowskiego w wierszu „Inwalidzi” (z „Epilogu wrzesniowego”) — zachowująca nie tylko układ stroniczny, ale także retoryczność i powagę stylu. — Jakże w tej psalmiczno-archaicznej formie żywo pulsuje aktualność.

„Czego chcesz od nas, Panie, za Twej hojnej dary,
czego za głód, kalectwo, mordercy i pożary?
Rozum Cię nie ogarnie, wszędzie w imię Twoje
na ziemi, w morzu, w niebie wrą straszliwe boje.”

Ciekawszymi w pomysłach jest „Ostatni koncert Jankiela”. — Poeta przywraca jeszcze raz do życia piękną postać z mickiewiczowskiego poematu, by na oczach świata ukazać tragedię żydowskiego narodu. — Koncert Jankiela pełni tu inną funkcję niż w „Panu Tadeuszu” i jest boją pobjedą do walki ze złowrogim faszyzmem. Ten utwór cenię najwyższemu w bogatym dorobku Piechala.

STANISŁAW KASZYŃSKI

KRONIKA NR 6

5

I GDZIE INDZIEJ

oświadczenie o nerwach, które nie pozwalają mu pracować pod jakimś kierunkiem. Nie dochodzi jednak do tej deklaracji, rozmowa się urywa, bo jesteśmy już na miejscu, pod zagrodą R. Tu można podobno kupić słomy potrzebnej mi do wypchania sienników.

Niewiele mam do powiedzenia w tej siomianej transakcji. Prawo popytu i podaży działa tu bez żadnych ograniczeń: słomy jest na wsi mało, poszukujących tego artykułu wielu. Za trzydzieści złotych dostaję dwa tegie snopki. Ładujemy je sobie na plecy i niczem chocznoty wderujemy z N. z powrotem. Nie jest to najwygodniejszy sposób transportu słomy.

— Do diabła — złoszczę się — trzeba nam było od razu wziąć sienniki.
N. coś tam pomrukuje, a potem staje nieruchomo, jak posąg.

— Wóz jedzie — powiada. — Poczekał, może podwożą.

Istotnie, wkrótce dogania nas siwa kopyta ciągnąca wóz. Na złotych deskach siedzi bokiem do kierunku jazdy Jan K. Szybko dochodzimy do porozumienia; po starej znajomości — znam Jana, podobnie jak i większość mieszkanców wsi od kulkunastu lat — snopki zostaną zawiezione na miejsce przeznaczenia. N., który ma z Janem nieznaną mi bliżej zatargi, składa swój ciężar na wozie i znika gdzieś w mroku.

— Wio, siwa!

Jedziemy powoli. Mijamy zagrodę Stanisława K. Dwa piętrowe domy, te, w których wkrótce ulokują się dzieci z kolonii, wyglądają jako-tak; reszta obejścia zapuszczona: koślawe dachy, walące się płoty. Od dwóch, trzech lat gospodarka Stanisława wygląda coraz gorzej, jakby się w niej coś załamało. Może Jan wytłumaczy mi, co się dzieje u jego młodszego brata?

— Będą latoś u Staśki kolonii? — pytam.

Jan kiwa potakująco głową.

— Siedem tysięcy za to wziął — powiada z nutką zazdrości w głosie.

— Co on z tymi pieniędzmi robi? — pytam dalej. — Bałagan u niego coraz gorszy, jak u jakiego dziada.

— Wio, siwa! — Jan leniwie macha batem i milczy.

Zbliżamy się do wjazdu na jego podwórce, siwa skręca ku bramie, ale szarpnięcie leje wyjaśnia jej, że jeszcze nie pora na powrót do stajni.

— Mundek! — woła Jan. Za chwilę z podwórka wybiega siedemnastoletni chłopak i zbliża się do nas. — Idź do Staśki i powiedz, niech ci da z ćwiartkę konicyny. Koszć dziś, to ma. Powiedz, że nie mam co koniowi z żłób włożyć.

Chłopak niezbyt chętnie idzie ku zagrodzie stryja, a my jedziemy dalej. Jan tłumaczy mi, że wiosną pożyczył bratu ze dwadzieścia snopków słomy, a teraz nie może się doprosić zwrotu.

— Wziął — weźmie, ale oddać...

Pytam o Mundka i o jego siostry: co robią, czy chodzą do szkoły. Okazuje się, że jedna z nowszych córek pracuje w jakimś biurze w Łodzi, druga — „uczy się na krawcową”, Mundek jest w technikum mechanicznym w Piotrkowie „tryby już na frezarcze wycina”.

— Jak skończy szkołę — powiadam — to akurat wybudują fabrykę konstrukcji stalowych. Będą tam potrzebowali metalowców.

— Czy tam, czy gdzie indziej — wszędzie roboty dosyć — stwierdza Jan. — Na wiosnę byłem w Warszawie, w Skarżysku i w Starachowicach. Wszędzie budują. Mnie tam nikt nie powie, że nie. Na własne oczy widziałem. Prr, siwa.

Zwaliliśmy snopki na werandę i Jan zabiera się do powrotu. Odprowadzam go do bramy prosząc by przekazał Mundkowi moje życzenia dobrych postępów w nauce.

— Dobrze się uczy, nie ma co — stwierdza z wyraźnym zadowoleniem. — Najpierw to go przyjąć nie chcieli, bo mówili, że za młody a teraz...

— Słuchajcie, a jak to będzie z gospodarką? — przypominam sobie raptem tak ważną sprawę. Jan nie rozumie, o co mi chodzi.

— Komu oddacie gospodarkę? Metalowcowi? Urzędnikowi? Krawcowej?

Jan ściga machinalnie leje, wóz staje. Zniecierpliwiona siwa potrząsa głową aż zachrząsały rzemienie upręży, potem nieruchomieje. Żaby za rzeką skrzczą bez opamiętania. Po chwili Jan poprawia się na deskach.

— Kto tam wie, czy długo jeszcze tej gospodarki? Może trzeba będzie jakoś inaczej, maszynami. Połowa ludzi ze wsi chodzi na robotę do kombinatu albo do hut, czy na tartak. Wio, siwa. Dobranoc.

Pojechał.

Księżyc zaszedł i jest już zupełnie ciemno. Siedzimy znów na wysokim brzegu rzeki i palimy papierosy. N. odnalazł się szybko po odjeździe Jana, pomógł mi wepchać słomę do sienników a teraz opowiada o tym jak to młody traktorzysta nie mógł dać sobie rady z maszyną podczas orki w niedalekim Kole. Słyszę tę historię po raz trzeci czy czwarty; N. opowiada ją chętnie podkreślając swoje umiejętności i niezdarność młodzieńca.

— No to co z tego, że nie wiedział, co zrobić? — przerywam beceremonial-

nie tę opowieść. — Młody, nie ma jeszcze doświadczenia. Ale za dwa, trzy lata będzie umiał więcej od was. Mundek będzie od was mądrzejszy.

— Mundek? — N. jest wyraźnie dotknięty. — Co on tam wie. Gówniarz i tyle.

— Ale frezarkę już zna a inne maszyny pozna niedługo. Najnowsze. A wy co? Słusznie, kowadło i na tym koniec.

— Tfu! — N. spluwa soczyszc z oburzenia i zastanawia się chwilę nad odpowiedzią. — Jakbym miał taki akumulator, to...

Gdzieś niedaleko zawarczał motocykl. Terkot wybuchów hałasów i niespodziewanie targał ciszą. N. zakreślił się niespokojnie.

— Słyszysz pan? To u Staśki. Pewnie znów jedzie gdzieś na pijaństwo. Muszę zobaczyć.

Zostałem sam. Odgłos motoru poczęł się oddalać i cichnąć. Wkrótce brzmiał w tej samej tonacji co rechotliwe wrzaski żab. N. miał chyba rację. Stanisław K. wyruszył w świat bardziej cywilizowany, szukać w gospodzie czy knajpie zapomnienia.

Światła sulejowskie wydawały się bliższe, jaśniejsze; opary nad łakami były ledwo widoczne o bliskości rzeki mówił jedynie lekki chłodek i monotone bulgotanie wody. Na wsi było zupełnie cicho, nawet psy spały. W niedalekiej zagrodzie Stanisława K. ledwo stojące płoty, odrapany dach obory i dziurawe ściany szopy daremnie czekały na gospodarską rękę. Najzamotniejszy we wsi gospodarz nie kwapił się do roboty. Żył z dnia na dzień. Czemu?

„Kto tam wie, czy długo jeszcze tej gospodarki?” — mówił Jan. Chyba nie on jeden zaczynał rozumieć, że po staremu niedaleko załdzie. Tylko że dla jednych taka myśl jest tylko trudna, dla innych — rozpaczliwa. Dla Stanisława, na przykład, oznacza ona klęskę tego wszystkiego co zbudował zachłannymi rękoma i wymarzył sercem. Jak tu nie pić, kiedy człowiek widzi, że życie zwycięża go i odsuwa. Nie ma już na wsi ludzi, których można byłoby brać do roboty — ci ludzie poszli do kombinatu, do hut, na budowy. Zostaje tylko „pomylony” N., da się jeszcze pożyczyc od brata słomy i nie oddać jej potem. Co w takiej sytuacji można zwojować, do kąd można dojść?

Wies nie miała a sklepu w niej nie ma. Nie ma też i szkoły. Nie ma elektryczności i wielu, wielu rzeczy ułatwiających ludziom życie. A przecież Jan rozumie konieczność jakiegos innego gospodarowania, a Stanisława perspektywa ta przeraża. Zajązła jednak do tego zapadłego kąta zszesciolatka, kazała ludziom myśleć, zmieniła ich życie. Kto wie, czy i N. nie zdecyduje się wreszcie na pracę w POM-ie?

Żaby na chwilę przycichły. Z lasu dobiega daleki gwizd parowozu. Okazuje się, że słysząc tu czasem odgłosy pracy, jaką tętni cały kraj.

EDWARD SZUSTER

Opowiadania Wirpszy



NIEWIELKI tomik opowiadań Witolda Wirpszy*) czytałem szybko, niecierpliwie, a zarazem nieufnie.

Odpłytki myśli i wrażeń, na gorąco spisywane notatki, przemieszane fikcją autentyzm, skreślone głównie dla niepokojących point końcowych szkice postaci — wszystko to, mimo że zawężone już w założeniu przez narrację w pierwszej osobie, budziło we mnie przemożne uczucie niedosytu.

Wirpsza umie patrzeć. Za mało powiedzieć, że jego proza wyrasta z ciekawości świata i ludzi — ona sama jest ciekawością, mnożeniem znaków zapytania, paraniem się ze złożonością cudzej psychiki. „Brix” to kronika dokonywanych przez autora skomplikowanych zabiegów zmierzających do „otworzenia” bohatera tytułowego. Kronika ciekawa tak długo, dopóki są to tylko zabiegi i tylko usiłowania — w chwili gdy Brix przystępuje do spowiedzi, okazuje się, że warta skądinąd świeżki, gra została przegrana. Złożona psychologicznie tragedia Brix’a jest tylko zasygnalizowana. Wirpsza urywa w pół słowa i nad resztą zawieszając znak zapytania.

Może o to właśnie chodzi? Chciałbym móc wierzyć.

Wydałem mi się bowiem, że Wirpsza nie zawieszając głosu, lecz po prostu nie mówiąc. Docierając do głębszych warstw psychiki bohaterów traci zdolność analizy i spostrzegania. Mając, pozwól mi sobie na dość ryzykowne porównanie, intuicję internisty, nie ma fantazji chirurga. Kiedy decyduje się na głębsze cięcie, dokonuje go po omacku. I trafia na tętnicę. I zarzynają temat.

Jaskrawym tego przykładem może być najdłuższe w tomiku opowiadanie „Pracownik bezpieczeństwa”. Usłyszawszy — chętnie biorę tu autorskie wyznaczenie za dobrą monetę — o młodej dziewczynie, która ze studentki medycyny stała się pracownikiem aparatu bezpieczeństwa, spróbował Wirpsza wypełnić białe plamy opowieści zorganizowaną fikcją.

Sposób w jaki się do tego zabrał, świadczy o czymś więcej niż o słabości warsztatu. Rzecz wygląda bowiem tak. Pierwsze kreski rysunku psychologicznego rzuca Wirpsza na to mazurowe pojezierze. Gorąco zaangażowany we współczesność spiker radiowy Kornacki spędza urlop na wiośńce rowerem. W jego portfelu spoczywa zwitek anonimów — ostatni z nich jest wydany już przez podziemną organizację wyrokiem śmierci. I z tym człowiekiem styka autor Irene. Przygodkowe spotkanie, wspólna wędrówka, rodząca się miłość...

Dzieje tej miłości są — rzecz jasna — jedną z domagających się wypełnienia białych plam. Przybiera ona pod piórem Wirpszy różową barwę lukru. Wszystko — poza opisami krajobrazów — staje się denerwującym mdłe, do tracące purytanizmem śmieszności wysublimowane z czysto ludzkich, a zarazem czysto fizycznych odruchów. Więcej — niedowierzając, banalnie zresztą rozpoetyzowanym, dialogom podpierają je Wirpsza skonstruowanymi i stanowiącymi jak gdyby podskórny nurt dialogu myślami bohaterów, a wszystko to okrasza sówicie odautorskim komentarzem. Koniec końców znajdujemy się w posiadaniu informacji niemal co do każdego „drgnięcia psychiki” bohaterów — bieda tylko w tym, że psychiki tych, podobno wrażliwych i interesujących ludzi są nastrojone na jednostajny ton wielkiego spokoju i upojnej, kontemplacji, co z kolei nie wydaje się być dostatecznie uzasadnione sytuacjami.

Gdy, po tak szczegółowym a zarazem tak powierzchownym nakreśleniu portretów psychologicznych bohaterów, pada zabijający Kornackiego skrytobójczy strzał, spodziewamy się, że obraz oddziałający na Irene przejdzie w kontynuujący uprzednie zwierzenia (mam tu na myśli opowiadanie Irene

o jej poprzedniej miłości) monolog wewnętrzny.

Ale jeżeli Wirpsza pozwolił Irene, w sposób zresztą bardzo deklaracyjny, mówić o olbrzymim wstrząsie, którego doznała dowiadując się, że jej narzeczony był sabotażystą i szpiegiem — to teraz nie tylko rezygnuje z monologu wewnętrznego, ale i z narracji odautorskiej. Ciężar narracji przerzucony zostaje na oficera Urzędu Bezpieczeństwa, — który mnożąc pytania i opowiada o dalszych losach Irene, pragnącej rozpocząć pracę w aparacie bezpieczeństwa.

Czy wolno było wybrać pisarzowi takie akurat rozwiązanie? Oczywiście, że wolno. Dla mnie jednak nagła zmiana kąta widzenia w chwili największego napięcia psychologicznego jest nie tylko odwrotem, ale i kapitulacją. Kapitulacją tym oczywiście, że nastąpiła po nieudanej próbie nakreślenia pełnych sylwetek zakochanych i szczęśliwych ludzi.

I jeżeli tak się na te sprawy popatrzy, jeżeli — roboczo bodaj — przyjmie się luźno rzucone uprzednio przypuszczenie, że Wirpszy brakuje „fantazji chirurga” — wówczas dopiero jasnym się staje, skąd brał się ów uprzykrzony niedosyt.

Ależ tak — stąd właśnie! Stąd, że chociaż pisarz ma dobre prawo niedopowiedzania, to gdy z prawa tego przedwcześnie korzysta, nie tylko niedopowiada, ale nie mówi nic. Wirpsza umieścić należałoby pośrodku — mówi niewiele. A niewiele znaczy — za mało. W tym wypadku nawet sporo „za mało” — pisarz patrzy bowiem i ciekawie i celnie na ludzi. Jedno tylko — patrzy płytko. **JERZY PANASEWICZ**

W TEATRACH I W PAŁACU

(Dokończenie ze str. 3)

Zapomni wtedy o artystycznych przysługach swej młodości, o tej sile, którą kiedyś potrafił rozpętać kilkoma ruchami — ale o której nikt mu, jak mi się wydaje, wprost nie powiedział. Spieszyliśmy się wtedy. Była przed nami jeszcze olbrzymia płaszczyzna życia, z którą należało się zetknąć. Dopiero dziś, po powrocie, w zupełnym spokoju, gdy ów pośpiech upływającego czasu wszedł w zwykłe, codzienne tory — można rozpałęgować, zastanawiać się, zachwycać.

Bodajże tego wieczoru także grano w Leningradzie Goldsmitha. Bodajże wtedy pomyślałem od razu, że i owemu „Wani”, gdy dorosnie, przypadną do gustu Goldsmith czy Fielding. Dadaż mu świetne podstawy do tworzenia tych mocnych, masywnych, realistycznych kreacji obyczajowych, których precyzję i dokładność podziwiamy w teatrach radzieckich. Dadaż mu świetny materiał do nauki, jak szukać i docierać w sztuce do „prawdy życia”.

Trzeba tylko

KAPITAŁNE wydało mi się przytoczone kiedyś przez Jana Spiewaka w „Nowej Kulturze” stwierdzenie przedstawicieli wydawnictwa (na pewnym zebraniu ZLP), że poezja to „towar deficytowy”. Podejrzałem to już dawniej, rozmyślając nad dziwnym losem tego „towaru”, ale teraz miałem możność upewnić się pod tym względem.

Jan Spiewak stwierdził też dalej, że aż się wzruszył wywodami wydawców w tej materii i że nie oskarża on bynajmniej pochopnie wydawnictwa. Jestem pewny, że pisząc te słowa, nie mógł się po- wstrzymać od filuternego przymrużenia jednego oka. Rozumiem go, narażać się wydawcom, to nie w kij dmuchał. Chociaż, z drugiej strony, właściwie trudno ich obwiniać w zupełności. Może w niniejszym artykule uda mi się wskazać na innych jeszcze winowajców ograniczania poezji.

Ale tymczasem muszę jeszcze powrócić do owej „deficytowności” poezji, bo mnie ta rzecz nurtuje. Znałem kiedyś, po wyzwoleniu, młodego człowieka, poetę, któremu się udało wydać tomik wierszy. A miał ów młody poeta bliską osobę — teściu, a zmysł kupieckim. Skoro książeczka wyszła z druku, zabrał się i on do jej oceny. Oczywiście wiersze nie należały do rzędu najlepszych, ale on ich nawet nie czytał. Zbadał tylko jakość papieru i zapytał o cenę egzemplarza. — Niedrogo — odpowiedział, gdy go poinformowano — papier zupełnie na poziomie, niezły. Gdyby nie był zadrukowany tymi wierszami, można by go było sprzedać o wiele drożej.

Otóż i mamy ową „deficytowność”, handlowe spojrzenie na dzieło literackie, książkę. Ileż to takiej „deficytowności” w naszym życiu kulturalnym. Teatry, zespoły artystyczne, najrozmaitsze imprezy i akcje masowe. Do wielu tych rzeczy dokłada się w sensie buchalteryjnym, by odebrać w postaci wie-

kszej świadomości i kultury obywatela, ale tego już się nie da w cyfrę ująć. Taki jest wyższy sens ekonomiczno-społeczny naszego życia, że zarabiamy w jednej dziedzinie, a dokładamy do drugiej. W wypadku poezji ów rzekomy niedobór wyrównuje się przecież w ramach wydawnictwa, operujących różnorodnymi, a więc i dochodowymi publikacjami.

Ala spróbujmy uprościć rzecz celowo i zanalizować ową deficytowność. Powiedzmy, że wyprodukowanie egzemplarza niewielkie-

kie, drudzy nieświadomie, uitośmilił schematyzm w poezji z niektórymi, wymienionymi wyżej gatunkami poetyckimi i formami tradycyjnymi, a nawet z tematyką. Co prostsze i bardziej dostępne dla percepcji mniej przygotowanego czytelnika formy poczęło się odsadzać od czci i wiary.

Hasło: „Nie zniżać poziomu” zrozumiano opacznie. Dla wielu poczęło ono oznaczać ucieczkę do najbardziej wysubtelnionych form lirycznych.

Powołując się ciągle na szerokie masy czytelnice i tradycyjne, poczęto niemiłosiernie lekceważyć czytelników i do lamusa odrzucać te najbardziej czytelną i oparte o dobre tradycje narodowe formy poetyckie. Poczęto się dobierać nawet do tzw.

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

W obronie poezji

go tomiku poetyckiego kosztuje 10 zł., a jego cena sprzedażna nie przekracza 5 zł. Oczywiście „deficyt” wynosi tu 5 zł., bez kosztów tzw. dystrybucji. Ale jeśli ów tomik znajdzie się w świetlicy i bodaj jeden wiersz z niego zostanie przyzwicie wyrecytowany i trafi do serc kilkudziesięciu słuchaczy, to ile to wyniesie na plus? Oczywiście, buchalteryjna metoda tu zawodzi.

Jeśli jedna celna strofa trafia do duszy człowieka i poszerza ją o jedno doznanie, wzbogaca ją o jedną nową myśl, to czy to nie rekompensuje wydatku materialnego? Ale właśnie w tym rzecz, aby ów tomik do tej świetlicy, do tego czytelnika dotarł miast leżeć w mrocznym kącie księgarni.

I tu wypadnie się jeszcze raz zastanowić nad przyczynami tzw. małej „chodliwości” poezji. Niekiedy poruszał już sprawę zblżenia poezji do młodzieży w szkołach, rozważania zamiarów poetyckich, roli księgarń i księgarzy itp.

Tu wypadła zastanowić się nad tym, w jakich formach poezja ma największe szanse na upowszechnienie. A więc będą to formy satyryczne, balladowe i ludowe, gatunki epickie, liryczne opisowe i na koniec tak pogardzany, retoryczny wiersz okolicznościowy, wychodzący poza pisma literackie, przemawiający ze szpałt prasy popularnej. Wszystkie te formy, o których potrzebie pisał Spiewak w jednym z felietonów.

Oczywiście formy proste, tradycyjne, mają większe szanse na szersze przyjęcie i z kolei przygotowują czytelnika do odbioru form bardziej wysubtelnionych. Na pozór mi powie, że to nie nowe. Wszyscy zadajemy sobie z tego sprawę, a jednak jakże to była nasza praktyka, czego to u nas z poezją nie wyrabiano w ostatnich latach.

Teraz jest już faktem stwierdzonym, że tuż w okresie powojennym zapanowało w naszej poezji znaczne ożywienie. W trakcie tego ożywienia nastąpił zasadniczy zwrot od reminiscencji przedwojennych i wojennych do realiów współczesnej budowy naszego życia.

W pewnym momencie stwierdzono w poezji z okresu tzw. produkcyjizmu zbyt wiele uproszczeń, powierzchownej retoryki, taniego optymizmu, niedbalstwa formalnego i tego wszystkiego, co złożyło się na schematyczne skostnienie tej trudnej sztuki.

Krytyka i praktyka redakcyjna, która uprzednio ten schematyzm kanonizowała, uderzyła teraz na alarm. I oto staliśmy się świadkami czarnego sabatu. Jedni świad-

liki opisowej. Ktoś tam napomknął o zaśpiewie ludowym w poezji, ale głos jego utonął we wrzawie. Czysta była ta nagła, że wielu poetów, czytelników, ba nawet i samych krytyków nie mogło się w tym potapać. Doszło do tego, że w dyskusjach poetyckich, bodaj jeszcze w ostatnich miesiącach, pojęcie poezji w ogóle poczęło utożsamiać z pojęciem liryki i to jej wąskiego nurtu, tzw. liryki osobistej, a czasem, powiedziałbym, zgola prywatnej. Już nawet redaktorom działów kulturalnych prowincjonalnych gazet trudno było zaimponować wierszem o mocniejszych akcentach społecznych, „pojęciowym”, mniej zagęszczonym poetyckimi obrazami.

I oto zaczynają znikać ze szpałt pism literackich fragmenty poematów, dłuższe wiersze opisowe, wyrzuca się na smietnik tzw. wiersz społeczny, „pojęciowy” i okolicznościowy. Pojawiają się natomiast bardzo rzadko maleńkie, filigranowe caczuszka liryczne, tkliwe wyznania osobiste i aż prywatne. Niekiedy z tych utworów są misterne i piękne, ale przecież nikt nie zaspokoł głodu okrucami najlepszych przysmaków, jak nie zwyczajnie delikatnym szczyrykiem tam, gdzie potrzeba miecza.

Mówiliśmy o wydawnictwach. Otóż skutki tej maczugowej krytyki były tu jeszcze dostrzegalne. W planach wydawniczych pozycje współczesnych, a szczególnie debiutujących poetów zaczęły gwałtownie topnieć. W jednym z czołowych wydawnictw plan, który w danym roku zawierał trzydzieści pozycji poetyckich, w roku następnym skurczył się co dośięciu. Powstała panika i melancholia w świecie poetyckim. Znaczyli coś tylko ludzie z wybitną pozycją. W redakcjach wydawniczych rozszalała się bezgłowość i bezkruwa, lecz niemiennie bolesna rzecz poetów, badanie, torturowanie, przymierzanie, dobijanie, naskłuchiwanie, czy żyje, kastrowanie i tak już anemicznych tomików, reguowanie wrodzić itd. itd.

Wiadomo, że następstwa tych i innych praktyk były smutne. Obalamano czytelników i poetów i wreszcie zauważono, że krytyka i praktyka wyprowadziła naszą współczesną poezję jak bezradne dziecko na topielisko, aby ją tam porzucić. Krytycy, którzy tego dokonali znikli, schowali się w krzakach. Ci, którym sprawa poezji szczerze leży na sercu, zaczynają teraz radzić, jakby ją sprowadzić na twardy grunt. Radząmy więc, byle skutecznie.

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

JAN SZTAUDYNGER

Nowy „bohater jasełek”

ZAPUSTY“ Zofii Lorentz są zamierzaniem nader ambitnym, skierowanym w słuszną stronę. W ambicjach zresztą prześcigał się autor scenariusza i jego realizator. Autor, związany z regionem, chciał wreszcie dać łódzkiemu teatrowi lalek prawo do używania przymiotnika „łódzki” i sięgnął w folklor okolic Łodzi, do Łęczycy.

W Łęczycy żyje od wielu lat opowieść o diable Borucie. Diablem to typowo szlachecki; burda, pijanica, obdartus, gotów każdej chwili do wybitki i wypitki. Od szlachty brał co tylko mógł, a równocześnie jak pajak broił swoich skarbow. Sylwetkę legendarnego Boruty charakteryzuje bratanie się ze szlachtą (skończone pojedynkiem), zamach na tłum łęczycy i... straż nad lochem. Zarówno zamach na tłum, jak pojedynek na szable skończyły się dla Boruty klęską, ale w trzeciej sprawie odnosił zwycięstwa — udało mu się ustrzec skarby.

Całkowita klęska Boruty, jak o tym pisała „Kronika” w nr 3-1955, przyszła wraz z likwidacją władzy szlacheckiej, a po przejściu jej w ręce ludu. Borucie pozostała tylko ucieczka, bo skarby jego — złoża rudy żelaznej — zostały odkryte dla dobra Polski Ludowej. Na naszych oczach rzeczywistość dopisała legendzie efektywne zakończenie.

Ażby odebrać szlachcicowi zasługę, a raczej chlubić pobicia diabła, ob. Lorentz kazała chłopu zwyciężyć diabła w pojedynku. Czy słusznie?

W sztuce Zofii Lorentz jej „bohater jasełek” (wedle terminologii słynnego krytyka Ignacego Matuzewskiego) no si miano Kuba zgodnie z ludową tradycją teatrów lalek Poznania, Lublina, i okupacyjnej Warszawy. Imię bohatera świadczy o tym, że Zofia Lorentz zdaje sobie sprawę z wartości nawiązywania do tradycji ludowych, ale Kuba, aczkolwiek nazwany po ludowemu i istotnie reprezentant ludu, bije się z diabłem po szlachecku na szable i po szlachecku rozprawia nie doprowa-

da do końca. Zbyt to mechaniczne ujęcie — przełożyć broń szlachecką w ręce chłopu. Nie szablą chłop nasz rozprawiałby się z diabłem, ale kłonicą, orczykiem, siekierą, motyką, kosą, widłami albo cepem. Jeżeli lud walczy z diabłem, to nie patyczkuje się z nim po szlachecku. Lud bije na śmierć.

Kuba w sztuce Zofii Lorentz to nie szczerzy chłop, ale chłop swoją służbą żołnierską jak gdyby uszlachcony. Jeżeli już jaką postać ze świata chłopieckiego nam przypominają, to chyba Janosika, rycerza-zbójcę, a nie zwykłego chłopu z dolin, któremu przecież warunki nie pozwoliły by na rozwinięcie takiej hardości.

Na sztuce autorki odbiło się ujemnie to, że aczkolwiek zna folklor łęczycy, nie zna folkloru łalkowego. Poznanie dokładniejsze typów naszej ludowej szopki umożliwiłoby jej dopiero stworzenie bohatera, który z diabłem walczy nie „sztuką krzyżową”, ale chytrą głową i siłą dłoni. Te cechy — chytrą i siłą — którymi lud tak się chełpi, pozwalają mu w bajkach ludowych i w sztukach lalkowych całego świata nie tylko przechrząć diabła, ale niekiedy wyłoić mu skórę, a nawet i zabić. Wydaje mi się, że o ile w walce z Borutą powinien Kuba zwyciężać orężem typowo chłopieckim, o tyle w walce z Kusym należałoby sztukę wzbogacić. O Kuba powinien być odnosić zwycięstwo innego rodzaju: zwyciężać orężem muzycznym, to jest skrzypcami. Sądzę, że w przeciwi-

stwie do Boruty, diabła butnego, chciwego i świadomego swej roli, Kusy powinien być uosobieniem sił przyrody i to polskiej przyrody, diabłem zamieszującym wnętrza spróchniałych wierzb, raczej figlarnym niż złośliwym. Zgodnie z topografią okolic Łęczycy — po prostu błędnym ognikiem. W każdym razie powinien być wyraźnie różny od Boruty. Bo skoro w sztuce zja-



Teatr „Arlekin”. „Zapusty” — Zofii Lorentz, inscenizacja: Henryk Ryl, scenografia: Zofia Gutkowska. Na zdjęciu: Boruta uwodzi pannę młodą

wiają się dwa diabły, to muszą być dwa różne diabły, różniące się od siebie nie tylko wzrostem i chwostem

Temat o Borucie został przez autorkę zaledwie muśnięty. Czekają na swego Goethego, Drde, czy choćby Rydla, a może na samą Zofię Lorentz, jeśli po przejściu „seminarium łalkowego” be-

dzie miała jeszcze raz cierpliwość podjąć ten temat.

Teraz o realizacji sztuki. Robiąc ze szlachciców jawaiki, a z postaci ludowych kukły, z natury rzeczy mniej ruchliwe, reżyser uczynił szlachte ruchliwą od chłopów. Najlepiej można się było o tym przekonać, patrząc na efektownego poloneza szlachty i porównując go z prymitywizmem i chropowatością tańca chłopieckiego. Masa chłopiecka jest mało ruchoma, sztywna, należałoby ją zdynamizować i ożywić. Kukielki umieją wybornie tańczyć, ale są bardzo wymagające. Trzeba się koło nich potrudzić. Poza tym zamiast dążyć do scen małoosobowych, Ryl porwał się na olbrzymie ensemble, pomysłowo zresztą nieraz uruchamiając tłum i synchronizując ruchy wielu kukiel. Mimo tych niewątpliwych sukcesów, wprowadzenie masy mało zindywidualizowanych aktorów, pokazanie ich — z konieczności — w pewnej statyce, utrudnia widzowi orientację, przyćmiewa odbiór sztuki. Łalka, aby żyć, musi się poruszać. A poza scenami zbiorowego tańca trudno, aby naraż ruszało się kilkanaście lalek.

Aktorzy mieli wielkie trudności. Musieli dosłownie wychodzić ze skóry, aby sprostać zadaniom. Zarówno autor jak i ambicja reżysera podyktowały im maksimum wysiłku. Wydaje mi się, że należałoby wyróżnić: Jerzego Leszczyńskiego w roli Boruty i Zdzisława Owsika w roli Kuby. Jeśli chodzi o dekorację, nie podobało mi się zajęcie przez sylwetkę zamku łęczycyckiego całego otworu sceny i więcej niż otworu sceny. Oko gubiło się w szczegółach i nie obejmowało od jednego rzutu całości. Sądzę, że na większej scenie wyszłoby to o wiele lepiej. Najlepszą częścią plastyczną była bezwzględnie postać Kusego.

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń gorąco oklaskiwałem teatr. Dotąd nie spełniał on swoich obowiązków wobec regionu. Jest to pierwsza premiera łódzkich teatrów lalek, związana jeśli nie z samą Łodzią, to z jej okolicą. I za to autorce i teatrowi — dzięki!

JAN SZTAUDYNGER

*) Witold Wirpsza — „Stary tramwaj” Wyd. Czytelnik 1955.

Notatnik kulturalny

Nowe wydawnictwo „Śląsk”

Dnia 2 lipca br. odbyła się V Sesja Woj. RN w Łodzi, poświęcona sprawom rozwoju i upowszechnienia kultury na terenie województwa łódzkiego. Podsumowując całość obrad, można nazwać po imieniu 7 grzechów głównych naszej Woj. RN na polu kultury.

1. 10 lat trzeba było czekać, aby na forum obrad rady weszły norezeczy zagadnienia kulturalne. Była to więc I Sesja, na której mówili się o pracy świetlic, PDK, WDK, bibliotek, artystów ludowych itd. Dobrze i to, ale grzech przez to grzechem być nie przestał tym więcej, że spowodowało następny grzech.

2. Dziewięć lat trzeba było czekać na powstanie Komisji Kulturalnej przy Woj. RN. Tego rodzaju grzech polega na braku zorganizowanej kontroli Rady nad sprawami kultury w województwie, oznacza brak polityki kulturalnej i... powoduje skośne inne.

3. Wojewódzki Dom Kultury jest jeszcze jedną placówką k-o miasta Łodzi. O jego działalności na terenie ani słycho ani dychu, co spowodowało nowe grzechy.

4. Pow. Dom Kultury, jak i pani matka — na wieś rzadko zaglądają. Fakt, który powiększył groźno grzeszników na szczeblu powiatowo — gromadzkim.

5. PRN często interesują się sprawami kultury w ten sposób, że przesyłają do tego resortu ludzi na okres wymowności, a skoro nie jest to możliwe, „rzucają” pracowników k-o do walki” o... skup i kontratację.

6. Gromadzkie Rady Narodowe — jak wyżej, przykład idzie z góry.

7. W sprawozdaniach z obrad szeregu lat figurują wciąż te same sukcesy. Ale niektóre z nich — jak słysześmy na sesji — bywają w tym samym stopniu przesadzone, co nazwanie zamkniętej na czerń spusty świetlicy przodującą.

Dobrze się stało, że te grzechy wydobły. Pierwszy to znak walki z nimi. Do poszczególnych problemów sesji redakcja „Kroniki” wróci w najbliższym czasie.

O „Zeszytach Historii Powszechnej”

Od roku 1953 ukazuje się w Paryżu pod redakcją L. Febvre'a, czasopismo „Cahiers d'histoire mondiale” (Journal of World History — Cuadernos de historia mundial), wydawane przez międzynarodową komisję UNESCO, powołaną do opracowania historii naukowego i kulturalnego rozwoju ludzkości. Zamieszcza ono część materiałów gromadzonych do przygotowywanego sześciotomowego dzieła, które ma przedstawić dzieje ludzkości od czasów najdawniejszych do chwili obecnej, uwzględniając przede wszystkim historię licznych dziedzin kultury: języka i oświaty, nauk ścisłych i techniki, teorii filozoficznych, ekonomicznych i społecznych, religii, sztuki i literatury. Dzieło to tym ma się różnić od większości wydawanych dotąd na zachodzie Europy i w Ameryce cyklów historii powszechnej, że ma koncentrować się na wydarzeniach politycznych, dążyć będzie do stworzenia obrazu postępowego rozwoju ludzkości w różnych dziedzinach kultury.

W „Cahiers” ogłoszono dotąd wiele artykułów o niewątpliwie wartości naukowej, jak np. prace wybitnego archeologa Gordon'a Childe'a. Na całości publikowanych materiałów dotkliwie się jednak odbija brak kontaktu z nauką radziecką i w ogóle nauką krajów Europy wschodniej. Ogłoszona na pierwszym zeszytach „Wspomnienia” z bieżącego roku zapowiedzi współpracy historyków radzieckich w „Historii naukowego i kulturalnego rozwoju ludzkości” pozwala mieć nadzieję, że dzieło to nabierze prawdziwie międzynarodowego charakteru i doniosłości naukowej.

Polonica niemieckie

Nakładem „Thuringischer Verlag” w Weimarze ukazały się „Czerwone Torce” (Rote Schilde) Jaroslawa Iwaszkiewicza w przekładzie Kurta Hartera. W przygotowaniu znajdują się wiersze Juliana Tuwima oraz powieści Wilhelma Macha „Jaworowy dom” (Das Ahornhaus).

W Berlinie, w hali sportowej przy Alei Stalina, odbyła się wystawa pn. „Architektura ogrodowa w Polsce Ludowej”, ukazująca projekty i fotografie parków narodowych, rezerwatów przyrody, stadionów, amfiteatrów, zieleńców miejskich itp.

Wystawa spotkała się z dużym zainteresowaniem społeczeństwa niemieckiego i entuzjastyczną oceną prasy berlińskiej.

W wychodzącym w Wiedniu dwutygodniku „Tagebuch” z dnia 18 czerwca br., ukazał się artykuł pt. „Lekarz czyta powieści o lekarzach”, w którym autor Clara Fischer omawia m. in. wydanych świeżo w Berlinie, nakładem Aufbau-Verlag, „Ludzi bezdomnych” (Die Heimatlosen) Stefana Zeromskiego. Swoją recenzję Clara Fischer kończy następującymi słowami: „Najlepsze w książce Zeromskiego są jego opisy z życia robotników. Najpiękniejszy zaś jest tragiczny opis podróży polskiej robotnicy i jej dzieci przez Austrię do Szwajcarii. Bezradność i zwątpienie kobiety, nieznającej języka niemieckiego, która wskutek mylnej przesłanki, błądzi po Austrii, oddał Zeromski w słowach, czyniących ten rozdział wspaniałym dziełem sztuki”.

Berliński tygodnik ilustrowany „Neue Berliner Illustrierte” drukuje w odcinkach powieść biograficzną o naszej wielkiej rodance Marii Curie-Skłodowskiej. Powieść nosi tytuł „Magische Strahlen”, autorką jej jest popularna pisarka niemiecka Luise Maria Schmidt. Jednocześnie „Magische Strahlen” ukazały się w formie książkowej nakładem berlińskiej firmy wydawniczej „Neues Leben”.

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Osiągnięcia i zamierzenia

(List z Poznania)

ZACZNIJMY od spraw, w jakis sposób zapiętych już, jeżeli nie na ostatni guzik, to w każdym razie daleko zaawansowanych. Choćby zagadnienie Roku Mickiewiczowskiego w Wielkopolsce. Rada Kultury przy WRN, wychodząc z założenia, że Wielkopolska jedyną z wszystkich ziem polskich związaną jest z bezpośrednim pobytym na niej Mickiewicza, zamierzała nadać uroczystościom specjalny charakter i w związku z tym bardzo gruntownie i sumiennie, przy współudziale polonistów, opracowała szczegółowy plan imprez i szerszych zamierzeń, ukazujących dawne powiązania regionu z wieszczem. Projekty te zostały zaakceptowane przez czynniki lokalne, jeździły różne delegacje do Warszawy, zjawił się w Poznaniu dyr. Pański, sekretarz egzekutywy Roku Mickiewiczowskiego, a więc nieomal sielanka. Tymczasem... pomnik Mickiewicza w tym roku nie zostanie wzniesiony, jedynie 28 listopada położy się na Placu Wolności... kamień węgielny pod przyszły pomnik. Został rozpisany konkurs, zaproszono do niego ośmiu rzeźbiarzy, w tym trzech z Poznania. To jedyny plus. W każdym razie Poznań, w którym pierwszy pomnik poety stanął już w dwa lata po jego śmierci (dziś Oleszczyńskiego), nie wiadomo kiedy doczeka się od nowa widomego znaku swego gorącego stosunku do autora „Pana Tadeusza”.

Z kolei Śmiełowa, o którym pisał w „Kronice” Leszek Prorok. Zabytkowy pałac klasycystyczny, jeden z najpiękniejszych w

stym rodzaju, upamiętniony pobytami poety, z salami zdobnymi w piękne malowidła Smugiewicz, niszczące w zaniedbania, przekazany niewłaściwym użytkownikom. Komisja Kultury postawiła wniosek, aby Śmiełowa przekształcić w Dom Pracy Twórczej. Piękne tradycje (bo i Śmiełowiec był tam gościem), przepiękna okolica, tzw. Szwajcaria Zerkowska, wygodny rozkład budynku — wszystko przemawiało za tym projektem. Tymczasem egzekutywa Roku Mickiewiczowskiego oświadczyła, że sprawa właściwego przeznaczenia Śmiełowa nie leży w jej kompetencji, województwo znów nie posiada funduszu, i tak piękny i słuszny projekt upadł smutnie. Jedynie za sprawą dyr. Malinowskiego, z budżetu muzealnictwa wywołano jakąś kwotę, która zezwoli na konserwację i odnowienie zabytkowych polichromii smugiewiczowskich... Istnieje jednak obawa, że po tym odnowieniu powiatowy wydział oświaty znówu każe kierownictwu szkoły zamalować wspaniałą scenę przedstawiającą sąd ostateczny, bożinkom zaś dorobić spódnice, by nie obrażały przyzwoitości — tak bowiem stało się właśnie przedtem.

Są jednak i osiągnięcia. Wprawdzie projektowana teka graficzna, mająca pokazać wszystkie miejscowości związane z pobytym w nich Mickiewicza, ich podobieństwo z krajobrazami „Pana Tadeusza” — nie ukazuje się, bo to, jak oświadcza, również nie leży w kompetencjach egzekutywy Roku, niemniej są szanse wydania podobnej teki fo-

TEGOROCZNY Zjazd Polskiego Towarzystwa Historycznego połączony z obchodem 50-lecia rewolucji 1905 r. odbył się w Łodzi, w mieście, w którym tradycje walk rewolucyjnych są szczególnie silne, a wspomnienia o nich jeszcze bardzo żywe.

Zjazd obradował 26 i 27 czerwca br. W pierwszym dniu obrad prof. Tadeusz Daniśzewski wygłosił odczyt publiczny pt. „Główne zagadnienia rewolucji 1905—1907 r. na ziemiach polskich”, w których przedstawił ogólnie tło wydarzeń rewolucyjnych w Polsce.

Referat przygotowany przez środowisko łódzkie (kand. n. h. P. Korzec i doc. dr. H. Katz), został wygłoszony w drugim dniu Zjazdu. Zasadniczym tematem referatu były wydarzenia rewolucyjne lat 1905—1907, w łódzkim okręgu przemysłowym, a szczególnie w samym mieście Łodzi. W pierwszej części autorzy przedstawili całokształt warunków ekonomicznych, społecznych i politycznych, które istniały w Łodzi w okresie przed wybuchem rewolucji; część druga obejmowała chronologicznie przebieg wydarzeń rewolucyjnych od powszechnego strajku styczniowo-lutowego do zapanowania reakcji stotyptinowskiej. Referat zrezygnował z pełnego przedstawienia przebiegu wydarzeń w Łodzi i jej okręgu, kładł przede wszystkim nacisk na te okresy, w których proletariát łódzki zajmował przodują-

ĄCZNO — to wieś leżąca na krańcach powiatu piotrkowskiego. Długa odległość od miasta (40 km), niedogodna komunikacja, brak radiofonizacji utrudniały mieszkańcom Ręczni kontakty z ośrodkami kulturalnymi. Pomimo to życie kulturalne istniało. Świadczy o tym zorganizowany 30 maja br. dla miejscowej ludności i okolicznych nauczycielstwa „Poranek Mickiewiczowski”.

Uroczystość ta, to jeden z punktów pracy kulturalno-oświatowej szkoły w Ręcznie w Roku Mickiewiczowskim. Przygotowała ją nauczycielka języka polskiego, ob. Kocińska Romana. Artystami — wykonawcami programu były uczniowie i uczennice klas 5—7. Dekoracje i kostiumy wykonano „własnym przemysłem”.

Podziwialiśmy pomysłowość nauczycielki i dzieci. Scena zrobiona ze stołów nakrytych dywanem i chodnikami. Ukazało się

W czerwcu ub. r. na Suwalszczyznę zjechało kilka ekip astronomów polskich i czechosłowackich dla obserwacji zaćmienia słońca, które w tej miejscowości było całkowite. Przybyła także ekipa filmowców z Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi. Powstał film, mający cechy dokumentu i popularyzacji naukowej: „ZACMIENIE SŁOŃCA” (scenariusz prof. dr. W. Zonn). Widz odnajduje na ekranie utrwalone wysoce ciekawe zjawisko astronomiczne i wyjaśnienie związanych z tym badań naukowych. Film został wyprodukowany w Kolorach.

Otoczone legendą gwiazdy od dawna budziły ciekawość ludzkiego umysłu. Czy są stałe, niezmiennicze? Czy też podlegają prawom przemian, jak wszystko we wszechświecie? Film pt. „ŻYCIE GWIAZD” (scen-



Z filmu „Nasz zespół”

tograficznej. Już nasi artyści-fotograficy przeprowadzają studia w terenie, przy pomocy „scenariusza”, zrobionego przez polonistów „mickiewiczologów”. Teatr Polski ucałe udatnie wystawił „Ballady i Romanse” Maliszewskiego, „Estrada” uruchomiła w opracowaniu i reżyserii A. Hanuszkiewicz koponiedziałkowe recytatorskie wieczory mickiewiczowskie. Szerog imprez przygotowuje się na okres targowy. Na „Czwartki Literackie” prof. Konrad Górski, współautor „Słownika Mickiewiczowskiego”, pięknie mówił o języku poety. W Śmiełowie odbyła się wielka uroczystość z udziałem okolicznych wsi.

O innych zrealizowanych i niezrealizowanych zamierzeniach mówiono też przed paroma dniami na sesji MRN, poświęconej sprawom kultury. Obradom przysłużyli się goście MRN z Łodzi. Szczególnie ostro postawiona została w koreferacie komisji kultury MRN sprawa braku troski o szkoły artystyczne. Dochodził do tego, że wstrzymany został przez ministerstwo nabór do liceum kulturalno-oświatowego, uczelnia pracuje bowiem w okropnych warunkach lokalowych, stanowczo nieodpowiednich dla tego rodzaju placówki. I nie pomogą tutaj tłumaczenia MRN, że szkolnictwo artystyczne pozostaje poza jej gestią. To zbyt łatwy sposób umyć ręk. Bo w końcu lokalami na terenie miasta dysponuje właśnie MRN, a nie kto inny... Na sesji atakowano także słabą opiekę kulturalną nad periferiami miasta. W uchwale postanowiono zająć się energicznie tym problemem. Oby...

W porównaniu z poprzednim rokiem był jednak i duży plus. Lepsza jest opieka nad świetlicami, serdecniejsza troska o ruch amatorski, bliższa orientacja Wydziału Kultury we wszystkich, co w kulturze mia-

Sesja naukowa PTH

ce miejsce w walkach rewolucyjnych, a jego działalność wywierała wpływ na kształtowanie się rewolucji nie tylko na ziemiach Królestwa, ale nawet całego cesarstwa.

Niewątpliwie referat zjazdowy stanowi jedną z najpoważniejszych prac historiografii polskiej, zajmującej się dziejami łódzkiej klasy robotniczej i jest ważną pozycją, omawiającą kluczowe problemy historii proletariatu polskiego.

Referat uzupełniły dwa głosy zbiorowe. Pierwszy (pod redakcją prof. dr. H. Brodowskiej) omówił walkę chłopów w łódzkim okręgu przemysłowym. Drugi głos (pod redakcją prof. dr. J. Dutkiewicza) przedstawił problematykę strajku szkolnego.

Indywidualne głosy w dyskusji można zasadniczo podzielić na trzy grupy. Łódzianie przedstawiali wybrane zagadnienia z dziejów walk rewolucyjnych na terenie Łodzi i jej okręgu, rozszerzając lub uzupełniając zasadnicze tezy referatu. Przedstawiciele innych ośrodków historycznych omawiali wydarzenia rewolucyjne przeważnie w skali ogólnokrajowej. Osobną grupę stanowiły głosy uczestników walk ilustrujące wypo-

Mickiewicz w Ręcznie

na niej troje dziewcząt w strojach ludowych i pięknym językiem wieszcza rozpoczęło opowiadanie o „zbrodni niesłychanej” (Ballada „Lilie”). Wnet ujrzelśmy „zbrodnicę meza” — jak się później okazało — w ślubnej sukni nauczycielki. „Nieboszczyka bratowie” dziarsko prezentowali się w hełmach i mundurach strażackich, z mieczami wystyganymi kozłkiem. Na widowni zapanowała cisza. A kiedy ukazała się „postać w białej” (fartuch lekarski, maska z płótna) sala została zelektryzowana. Wszyscy zrozumieli intencje poety: — nie ma winy bez kary.

Nie mniej pomysłowo zaśnienizawono

Nowości z ulicy Kilińskiego

nariusz prof. dr. Wł. Zonn) udawał, że gwiazdy przechodzą różne fazy ewolucji, i pokazuje, jakie są typy gwiazd od plejad — gwiazdozbiorów do Jowisza, Wenera, Saturna itd. Film wykonała pracownia rysunkowo-trickowa WFO.

Znany zespół pieśni i tańca przy Zakładach Mechanicznych im. J. Strzelczyka w Łodzi doczekał się wreszcie barwnego filmu pt. „NASZ ZESPÓŁ” według scenariusza Zb. Chylińskiego. W formie interesującej ekranowej narracji podane zostały dzieje zespołu w czasie pracy nad suitą tańców kurpiowskich pod kierunkiem S. Douglara. Film zamyka występ zespołu. Muzykę napisał E. Pągowski, tekst A. Demkowska. Film został przygotowany na Międzynarodowy Festiwal Młodzieży w Warszawie.

Warszawa przeszłości przemówi dwukrotnie z naszego ekranu. Na zjazd historyków sztuki w Wenecji Wytwórnia Filmów Oświatowych przygotowuje film pt. „WARSZAWA W OBRAZACH CANALLETTA”. Film ten ukazuje stolicę, widzianą oczami malarza naduornego króla Stanisława Augusta i wyjaśni, w jaki sposób malarstwo Canaletta służy w Polsce Ludowej do odbudowy zabytków. Scenariusz i realizacja J. Brzozowski.

sta się dzieje. Wznówiono doroczne nagrody artystyczne i naukowe, dobiega końca restauracja zabytkowej biblioteki Raczyńskich, cuda się dzieją na Starym Rynku, który już w lipcu będzie do oglądania nieomal w całej krasie. Jak się okazuje, takie sesje są bardzo potrzebne...

„Dni Oświaty, Książki i Prasy” przemienęły składnie, były znacznie lepiej zorganizowane niż przedtem. Ze strony literatów pięknym ich zamknięciem był wyjazd pisarzy poznańskich na Ziemię Lubuską. Zielona Góra i Gorzów, Kargowa, Chwałin, Dąbrówka Wielkopolska — doczekały się rzadko na ogół zjawiających się tam pisarzy. Szczególnie serdeczny charakter miały spotkania z ludnością rodzimą wymienionych wsi. Rewanżowano się nam oryginalnymi, lokalnymi tańcami, pieśniami, zachwycaliśmy się ludowym strojem kobiet, nade wszystko zaś pięknymi czepcami...

W ogóle z literaturą jakoś w tym roku lepiej. Doczekaliśmy się już czterech debiutów: Leszka Proroka („Krewniacy”), Włodzimierza Odojewskiego („Opowieści leskie”) i zaraz potem „Upadek Tobiasza”), Ireneusza Kamińskiego („Opowieść węgierska”), wreszcie Piotra Guzy (,,Następny odchodzi 10.25...”). Ukazały się też nowe pozycje Fiedlera, Ilakowiczówny, niżej podpisanego, kilka dalszych prac znalazło się w zapowiadanych wydawniczych... Pięknie proszę tradycję „Czwartki Literackie”, jak zawsze ścigającą liczną publiczność. Uroku dodaje im stynna sala renesansowa Starego Ratusza, w której się odbywają. Nawet w odcinkach prasy miejscowej drukują się dwie powieści autorów poznańskich. Tego jeszcze nie bywało. Może się wreszcie skończy dosyć uciążliwa posucha poprzednich lat.

Opinie i fakty

wiedzi historyków wspomnieniami naczynych świadków wydarzeń.

Zamykając obrady prof. dr. N. Gąsiorowska zwróciła uwagę, że w sesji brali udział przede wszystkim młodzi historycy, którzy podjęli się trudnego zadania przedstawienia wybranych zagadnień z dziejów polskiego ruchu robotniczego, znanego nam do niedawna prawie że wyłącznie w błędnej i fałszywej interpretacji historiografii burżuazyjnej.

Mimo bardzo poważnego znaczenia, jakie miała dyskusja, która wniosła wiele cennego i bogatego materiału do dziejów rewolucji 1905 roku, nie należy zapominać, że przeważały wypowiedzi przyczynkowe, że w dyskusji nie doszło do ostrego starcia przeciwstawnych poglądów, które by umożliwiło wyświecenie pewnych spornych problemów oraz ustalenie hierarchii tematycznej przyszłych badań, wysuniętych przez referat.

W okresie Zjazdu czołowi przedstawiciele polskiej nauki historycznej zwołili najważniejsze zakłady pracy w Łodzi, Pabianicach i Piotrkowie. Podczas spotkań z robotnikami przekazywali wyniki obrad szerokim audytoriom i omawiali rewolucyjne tradycje walk 1905—1907 r. zwołanych fabryk.

R. R.

„Śwież”. W miejsce niewodu użyto statki od gry w siatkówkę. Wytworona nią Świeżanka czarująco opowiadała historię Świeży.

Duch ztego pana („Dziady”) i oskarżenia skierowane pod jego adresem przez poddanych dały możność poznania siły, z jaką Mickiewicz protestował przeciwko krzywdzie społecznej.

Tadeusz z „Zosią” rozmawiającą o uwłaszczeniu chłopów czuli się na scenie tak swobodnie i rozmawiali tak naturalnie, że widowie i słuchacze stracili poczucie „przedstawienia”. Spojrzałem na ich twarze i zrozumiałem, że gdybyśmy wygłosili kilka referatów o Mickiewiczu, nie osiągnęlibyśmy takiego rezultatu, jak ta młodzież szkolna przygotowana przez nauczycielkę.

Mickiewicz czarem swojej poezji przemówił bezpośrednio do tych, o których marzył, stał się im bliższy i zrozumiały. J.

Jedną z popularniejszych postaci dawnej Warszawy był Franciszek Kosztowski, artysta plastyk, grafik, rysownik, wzięty ilustrator ówczesnych pism jak „Kłosy”, „Tygodnik Ilustrowany” itd. W pracach swoich z niezwykłym humorem przedstawiał życie obyczajowe stolicy drugiej połowy XIX wieku. Ciekawy ten dorobek posłużył do opracowania filmu pt. „WARSZAWA FRANCISZKA KOSTKOWSKIEGO”. Scenariusz: J. Jakimowicz i T. Makarczyński.

R.

OD REDAKCJI: Z okazji tych interesujących informacji pragniemy zapytać „odnośne czynniki”, dla kogo przeznaczony jest owoc pracy Wytwórni Filmów Oświatowych? O ile nam wiadomo, przeciętny śmiertelnik oglądać może filmy oświatowe jedynie w kinie dworcowym.

REDAGUJE ZESPÓŁ WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH
Oddział w Łodzi
„NAKLAD RSW „PRASA”
Adres Redakcji:
Łódź, Piotrkowska 96, I p. Tel.: 244-79
Rękopisów nie zamawianych
nie zwraca się
Prenumeratę miesięczną wnoszącą
zł 2,40 przyjmują Urzędy Pocztowe
i listonosze.
Zakł. Graficzne RSW „Prasa” — Łódź,
Zwirki 17. Zam. 2291. Pap. druk. sat.
60 g, V kl. VII. 55. D-6-14246.



Anasztazja Gościńska, działaczka wiejska, w tradycyjnym czepec ludowym mieszkańców Dąbrówki Wielkopolskiej

Poza tym w Poznaniu ożywił się i ruch niebywały! Wszystko się czyści, maluje, szoruje. Rosną w oczach nowe hotele i domy, tereny targowe, straszliwie to dla obcego galimatias obcojęzyczny, gdy tymczasem wszystko odbywa się rytmicznie w myśli planu. Nawet plastycy wywoływali na terenach targowych salon na swoją wystawę. To jeszcze jeden dowód wzrostu rangi spraw kultury w Poznaniu.

EUGENIUSZ PAUKSZTA



JAN HUSZCZA

Prawie inwokacja

O, ty nizinna i ty, tatrzańska,
dzięki za łaskę.
Cóż, że niejedna jeszcze twarz drańska
ma piękną maskę?!

Dzień gađa dymem, tartaków piła,
nad miastem łuna.
Ale, ojczyzno, gdybyż mniej było
frazesów u nas..

Łąk i pól twoich bujna uroda,
jednak grymaszę;
czemuż w stołówkach oraz gospodach
dręczysz gulaszem?

Która chcesz życia każdej rośliny,
nurt dajesz trawie!
Niech mają ludzie mniej bieganiny,
więcej ułatwień!

Pieśni lubimy, czułe kobiety,
zart, gdy się uda...
Skąd więc te filmy i te gazety,
dostojna nuda?

Oto gwiazdami noc zadzwoniła...
Pomyśl przez chwilę,
czy ci potrzeba, ojczyzno miła,
aniet aż tyle?

Ojczyzno trudna, chociaż skrzydlata,
nie wyklnij syna,
w którego życiu nieraz się spleta
patos i drwina..

TADEUSZ GIGIER

TRUDNY

Trudny orzech do zgryzienia —
kiedy brak ci uzębienia.

O STYLACH NAPUSZONYCH

Prognoza dla wielu próż:
Pochmurno. Skłonność do póź.

O NIEKTÓRYCH RECENZENTACH WYDAWNICZYCH

Ach, jak to miło być incognito
i działać bronią równie ukrytą!

O RYMIE

Rym — rzecz wytartą, powszednią, niczyją,
celnie użyty — wskrzesza lub zabija.

JULIAN STAWIŃSKI

W oczach Zachodu

COŁOWYM przejawem zachodnio-europejskiej kultury w latach powojennych stał się egzystencjalizm. Treścią tego prądu jest rozpacz. Wtórowała mu twórczość największych pisarzy Ameryki, którzy urody i sensu życia szukali na marginesie społecznym, wśród ludzi wysadzonych z zawisłości. „Nasza epoka jest aż do rdzenia tragiczna — mówił jeden z pisarzy okresu międzywojennego — ale my odmawiamy widzenia jej tragizmu”. W owym czasie Europa stała u progu faszyzmu i konwulsji. Przyszła klęska Hitlera i nasze dziesięciolecie. Ale w oczach Zachodu tragizm epoki jeszcze się pogłębił.

Uproszczenia bywają dwójakie. Jedne są skrótem, inne fałszowaniem rzeczywistości. Podział klasowy nie jest hermetyczny, poczucie tragizmu nie ogranicza się do samej klasy rządzącej. Jaki jednak jest jego zasięg i gdzie tkwią korzenie? Odpowiedź będzie zarazem wyjaśnieniem pytania, które, mimo całej banalności, ma rozstrzygające znaczenie: czy szary człowiek Zachodu zadowolony jest ze swojego losu?

Lecz wielowarstwowe formacje kultury nie dają nam odpowiedzi jasnej. Seismografy wielkiej literatury raczej sygnalizują, niż badają fakty. A gdy zejdziemy niżej, gdy sięgniemy po środki informacji masowej, ujrzymy obraz, który jeśli zadziwia, to chyba tylko odwagą zakłamania. Wielki liberalny dziennik „New York Post” — a jego ocena jest bardzo typowa — pisał niedawno: „Idzie my prosto drogą wiodącą w spełnienie marzeń Karola Marksa. Ameryka bowiem jest dzisiaj bliższa, niż jakikolwiek kraj świata, absolutnej równości środków majątkowych”.

Zaryzujemy się paradoksalnie jedynie z pozoru. Ten osobliwy optymizm wcale nie likwiduje tragicz-

ZNAJOMOŚĆ TERENU

Bardzo to ładnie, że „Państwowa Operetka w Łodzi” otrzymała od Ministerstwa Kultury i Sztuki, na wniosek Komisji Oceny II Festiwalu Muzyki Polskiej, nagrodę festiwalową. Cieszyłem się, gdy zobaczyłem artystycznie wykonany dyplom.

Ale też i trochę się zdziwiłem! Bo, proszę Ministerstwa, w Łodzi nie ma żadnej państwowej operetki. Jest natomiast Spółdzielnia Pracy „Teatr Muzyczny”, podlegająca Łódzkiemu Związkowi Spółdzielni Pracy, a pozostająca w jednym zarządzie usług (dyrekcji) razem z pokrewnymi spółdzielni, zajmującymi się: cerowaniem, myciem podłóg i okien, praniem bielizny, czyszczeniem kominów...

Kto nie wierzy, może się przekonać w Łódzkim Związku Spółdzielni Pracy, Piotrkowska 181.

Oczywiście, Ministerstwu trudno zorientować się w terenie, ponieważ mamy w Polsce aż trzy operetki!

NADMIERNY OPTYMIZM

Satyryk A. Marianowicz, odpowiadając 23. VI. 1955 r. na ankietę „Życia Warszawy”, żalił się na wydawców i na niskie nakłady swoich książek... Ze niby rozchodzą się jeszcze przed pojawieniem na półkach księgarskich.

Odnosimy wrażenie, iż optymizm ten pochodzi stąd, że satyryk odwiedza jedynie niektóre księgarnie warszawskie.

Prosimy zabrać do księgarni łódzkiej! Są w nich tomiki Marianowicza jeszcze sprzed kilku lat...

A i w księgarniach innych miast znajdują się „prawdopodobnie” także!

Nie zawsze i nie wszystkiemu winni wydawcy!

Tę skromną notą robimy wyłom w dotychczasowej praktyce generalnego zwalnia wszystkich win na wydawców!

Z PROBLEMÓW ZALESIANIA

Niedawno odbyło się w Łodzi spotkanie dyskusyjne ze znanym malarzem, Konstantym Mackiewiczem, posiadającym w dorobku piękne pejzaże, których najczęstszym elementem są drzewa.

Jeden z dyskutantów w czasie wieczoru wyraził się o tym mniej więcej w taki sposób: „Okupant zniszczył w czasie wojny nasz drzewostan... Dziękujemy mistrzowi, że swoimi obrazami znów nam Polskę zalesiał”.

PICASSO NA CENZUROWANYM

Swoisty dokument stanowi „Książka uwag i życzeń”, pozostawiona po urzędzonej niedawno w Berlinie wystawie szkiców i rysunków Pablo Picassa. Autorów opinii, wpisanych do owej książki, można by podzielić na dwie grupy: entuzjastów Picassa i jego wrogów. Oczywiście, tych ostatnich jest znacznie mniej, bo zaledwie 14%, podczas gdy pozostałe 86% opowiedziało się zdecydowanie po stronie artysty.

Spółród opinii negatywnych warto przytoczyć dwie najbardziej charakterystyczne. Oto pierwsza: „Nie oplaca się oglądać erotycznych fantazji starego mężczyzny, któremu drży otwórek, gdy widzi nagą kobietę”... I druga wypowiedź: „Już dawniej przejawiali artyści w starszym wieku — także i ci najwięksi — zainteresowania erotyczne. To nie jest żadna hańba. Ale dawniej szkice tego rodzaju przeznaczały się dla wąskiego kręgu odbiorców. Zarówno czujący człowiek odbiera te ekslibiszowe, jeśli nie jako niemoralne, to w każdym razie jako coś przykrego”.

Obrazcow o Anglikach

Sergiusz Obrazcow w znakomitym szkicu „Dwie podróże do Londynu” („Nowy mir” nr 6), którego niedawno doświadczył literat mógłby mu pozazdrościć, polemizuje z ułartym i dość powszechnym mniemaniem o Anglikach, jako o „ludziach faszystowskich, oschłych, nietowarzyskich, rzadko uśmiechających się”...

Przypominając, iż humor „Klubu Pickwicka” to nie po prostu prywatny humor Dickensa, ale przede wszystkim humor Anglików — ironicznych w stosunku do siebie i lubiących docinać sobie wzajemnie — Obrazcow przytacza kilka sytuacji, których był uczestnikiem lub świadkiem.

Oto Obrazcow jedzie na jeden z londyńskich kercelaków, słynący ze złodziei, przewany „hałką”. Dlaczego? Jeden z pasażerów autobusu opowiada: „Kiedy kobieta wychodzi z rynku, już jej proponują, aby okazyjnie kupiła swoją własną hałkę. Tę samą, którą miała na sobie, gdy wchodziła na rynek”.

Obrazcow miał ze sobą aparat fotograficzny. Przy wysiadaniu rozmowny pasażer wolał: „Zycze powodzenia! Będzie pan miał co fotografować”. Konduktor, który dotąd nie brał udziału w rozmowie, natychmiast dodaje: „O ile będzie czymś!”.

Przed podróżą pociągami do Nottingham, tłumaczka, placąc kasjerowi za bilet, zauważyła: „Czy nie za drogo za trzy godziny jazdy?”. Kasjer bez namysłu odpowiada: „Proszę się nie przejmować, missis. Jeżeli na miejscu w Nottingham okaże się, że za tę cenę nie warto było jechać, będzie pani mogła jechać z powrotem”.

Gdy w wagonie zapytano starego konduk-

tora o czas przybycia do Nottingham, ten z oficjalnym wyrazem twarzy odparł: „Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę powiedzieć, kiedy będziemy w Nottingham. Ja mogę tylko powiedzieć, kiedy powinniśmy być”.

W Manchesterze Obrazcow i towarzysze szukali muzeum. Zwrócił się do idących dwóch dziewcząt: „Proszę nam wybaczyć, czy panie nie wiedzą, gdzie...”. Dziewczęta przerwały i odrzucały zapytania: „Możemy tylko powiedzieć, gdzie znajduje się kino „Odeon”. Więcej o niczym nie wiemy. Same jesteśmy przyjezdni”.

A oto dialog, jaki miał miejsce w sklepie z rybami, ptakami i psami, oczywiście, żywym!

Obrazcow: „Czy ten kanarek wyuczony?”. Sprzedawca: „Bynajmniej, panie. U nas wolność słowa. On śpiewa, co chce”.

Obrazcow: „Szkoda tylko, że śpiewa w klatce swojego właściciela”.

Sprzedawca (zadowolony z rozmowy, czując na dalsze repliki): „O!... A wie pan, czemu ten kanarek jest czerwony? My go karmimy specjalnym pokarmem. Wy wszystkich komunistów także chyba karmicie czymś specjalnym?”.

Obrazcow: „Oczywiście!”.

Sprzedawca: „Czym więc?”.

Obrazcow: „Dobrymi książkami!”.

Sprzedawca: „A więc i ja mogę zostać czerwonym?”.

Obrazcow: „Prawdopodobnie!”.

Sprzedawca (wesół śmiejąc się): „Obawiam się, że mojemu pryncypałowi nie bardzo to się będzie podobało!”.

Q...

„Stańczyk”

W Lublinie 1944 roku — wśród licznych stosunkowo pism — ukazywało się pod hasłem „Dobry żart, tyfna wart” i pismo satyryczne „Stańczyk”. Pięć numerów „Stańczyka” pod redakcją Leona Pasternaka, to dziś już na pewno rzadkość antykwarska.

Ze „Stańczykiem” m. in. współpracowali karykaturzyści i rysownicy: Karol Baraniecki, Julliusz Krajewski, Mieczysław Piotrowski, Henryk Tomaszewski, Ignacy Witz, Jerzy Zaruba — oraz literaci: Jan Huszcza, St. J. Lec, Janusz Minkiewicz, Zbigniew Piotrowski, Jan Polityk, Artur Sandauer, Józef Wasowski.

Redakcja urzędowała przy jednym ze stoików kawiarni Zw. Art. Plastyków „Pod paletą”.

SŁUŻBA DOMOWA

Polska służąca angażuje się w Warszawie do domu „reichs-deutschów”. (Pani domu poucza ją: „U was, Polaków, praca była nieorganizowana. Służąca musiała latać na ulicę co kilka minut po różne drobiazgi. U nas jest inaczej: za jednym razem załatwiasz wszystko. Proszę, tu jest koszyk, w którym przyniesiesz drzewo, w ten plecak włożysz kartofle, tu jest torba na chleb, siatka na jarzyny, a tu torebka na mąkę, kaszę, cukier”...

„Proszę pani — powiedziała dziewczyna — może jeszcze włożę miotłę w d... , to zmiotę po drodze schody”...

DESPERACJA

Tak dalej żyć nie można. Było mu już wszystko jedno. Idzie więc do niemieckiego urzędu, wybiera jakąś ważną figurę, oczywiście, Volksdeutscha. Wchodzi do jego gabinetu bez pukania, wali go w pysk z jednej i z drugiej strony i czeka. Oczywiście, na śmierć.

Volksdeutscher zbladł, wstał z krzesła i... uprzejmym głosem zapytał:

— Przepraszam pana, czy to już koniec wojny?

2 MOSTY

(1926—1939)

Swe rządy w maju zaczęli wprost: Przeszli buńczucznie przez trzeci most, Miedź zadzwieczęła, zaświstał bał, Rządzili Polską trzynaste lat. Rząd ich się skończył, jak zaczął, wprost: Ot, w Zaleszczykach przeszli przez most.

Janusz Minkiewicz

MISJA

Ideowcy prywatni — ci, co dawny złób czezą — Cóż czynią w nowej Polsce? Paskują i kupeczą! Zapytany dlaczego, dumnie taki civis, Ze to nowy, powiada, polski pozytywizm! A ja, przetarłszy oczy, w tej misji oznakach Mniej widzę spadku Prusa, a więcej Prusaka!

Stanisław Jerzy Lec

LEOPOLD LEWIN

DWIE MIARY

Innych smaga biczyskiem, a siebie w nos prytka — oto jego krytyka i samokrytyka.

POETA I UKOCHANA

Pisał w wierszu, że będzie ją pieścił do rana. — Każdy tak obiecuje — rzecze ukochana — może uda się latem, kiedy świt czerwcowy; ale o drugiej odsłania zakochanych głowy; już spróbuj, mój miły, gdy nastanę grudnie, wtedy próżno zakładać, wtedy będzie trudniej...

O BRAKORÓBSTWIE

Gdy się dziewczyna nie podoba, pewnie jest córką brakoroba.

DO ROGACZA

Gdyby za każdą zdradą twej uroczej żony z czoła ci róg wyrastał właściwej grubości, byłbyś wspaniałym łosem rogów umajony i wszystkie by jelenie pękały z zazdrości.

na i bezwzględna obejmie całe społeczeństwo Ameryki.

Sięgniemy raz jeszcze do liczb. W tym wypadku do danych Biura Spisów Ministerstwa Handlu Stanów Zjednoczonych. Prawie jedna czwarta rodzin amerykańskich ma dochód nie przekraczający 2.000 dolarów rocznie, czyli znacznie poniżej minimum egzystencji. Polowa oscyluje wokół tego minimum. Zaledwie pięćdziesiąt rodzin zaliczyć można do średniozamożnych i tylko 3 proc. do rzędu bogatych.

Tak wygląda w zimnym świetle cyfr „nowy wspaniały świat”, gdzie według znanej legendy, co drugi pucybut zostaje milionerem, a pieniądze leżą wprost na ulicy. Kolumny cyfr można by długo mnożyć. Można by przytoczyć groźny stan szkolnictwa i powrotny analfabetyzm z Ameryce, zwany „funkcjonalnym”; opisać rozpaczy los „kolorowych”; wskazać jak bezrobocie uderza w główne ośrodki przemysłu i jak polityka uderza w masy najbiedniejszych; uzupełnić ten obraz widokiem łazienek wykładanych złotem i krawatów za półtora tysiąca dolarów; wniknąć w skutki marszallizacji, odmalować przemianę Anglii, Francji, Włoch, Niemiec zachodnich i krajów pomniejszych. Ale to wszystko wymagałoby księzek. A nie zmienilibyśmy samej istoty sprawy wydobyciej z pomocą kilku przykładowych danych. Taki jest bowiem odczyt z tych danych, odczyt, który nie prowadzi do zrywania nadbudowy, ekonomicznej rdzeń i tragizm epoki...

Wrócmy więc do punktu wyjścia i wstępnego pytania. Szary człowiek Zachodu szuka porównań między swym losem dzisiejszym, a tym co może być jutro. Nie wysnuł jeszcze wniosków ostatecznych, materiał porównawczy jeszcze mu ich nie daje. Stał na rozdrożu, odczuwa nieuchronność nadchodzącej decyzji, a nie ma odwagi jej pojąć. Tragizm jest więc po prostu tragizmem niezdecydowania. Usunie go bieg czasu i nasz pochód w przyszłość.

JULIAN STAWIŃSKI